

STEFAN JANISZEWSKI

# Ludzie i bestie



*Trembowla - miejsce wydarzeń opisanych w tej powieści*

FENIKS - 1995

Stefan Janiszewski

# Ludzie i bestie

Lubin 1995

Od Autora

*Oddając Szanownym Czytelnikom niniejszą powieść, pragnę poinformować o zmianie nazwisk osób tkwiących w organizacji banderowskiej, jak i całej społeczności ukraińskiej, akceptującej podonczas bez mała wolę i dyktat ludzi spod znaku "Tryzub" i "Złamanego Krzyża". Wyjątek stanowi nazwisko "Brezdeń". Ten bowiem okazał się, jak nikt inny, bezdusznym, okrutnym, zwyrodniałym mordercą.*

*Pozostałych złoczyńców spod tegoż znaku oszczędzono z uwagi na ich żyjące jeszcze rodziny i potomnych. Ponadto wzięto pod uwagę, że większość z nich działała pod presją swych zwyrodniałych przywódców, czego, jak się niebawem okazało, dozgonnie żalowali. Za przykład służy rodzina Semeniuków ze szczególnym uwzględnieniem ich latorośli - Bazyłka.*

*Mimo że ówcześni mordercy z organizacji Bandery w określony sposób przysłużyli się unicestwieniu polskości nawet przez uśmiercanie co znakomitszych rodzin, w tym kobiet, starców i dzieci, nazywając swe czyny "wybieraniem kąkol z pszenicy" - wymagają pożałowania, bowiem "nie wiedzieli co czynią."*

*Przy własnym rodowym nazwisku pozostawiono wielu sadowskich, trembowelskich i okolicznych ludzi dobrej woli, w tym ówczesnych działaczy Armii Krajowej oraz nieustraszonego, rzymsko-katolickiego, wielbnego księdza Szytelnickiego.*

Copyright by:

Stefan Janiszewski

*Włochomemu  
Tadzio - miłsijsze  
Janiszek - dedykuje  
Galec*

Skład, druk:

Wydawnictwo FENIKS  
Koszalin, ul. Zwycięstwa 137

## ROZDZIAŁ I

**N**ad Sadami rozpościerał się wiosenny świt, gdy młody Semeniuk, pożegnawszy pocałunkiem swą wybraną, wybiegł na brzeg wertepu porośniętego dzikim krzewem, by utartym zwyczajem spojrzeć na okryte zwiwną, siwą mgłą nocy śpiące jeszcze miasto.

Wodził oczami po dachach blaszanych, murach i stromych wieżach, odbijających się w lustrze płynącej leniwie rzeki, chwilami napawał się widokiem zamku i jego lasem jodłowym, to znowu Pokrówką z trzema krzyżami, u której stóp szumiął potoczek, ukrywający się niebawem pod Starym Miastem aż do Gniezny.

Musnąwszy wzrokiem po Karmelickim kościele i cerkiewnej bani, nieco dłużej przypatrywał się zielonym plantom. Dotarł do żelaznych torów, od których na wschód rozciągały się otulone gęstwiną owocowych drzew Sady - mierzących wielkość w stosunku do pozostałych przedmieść, jak: Sadyki, Podzamcze i Rakowica.

Napatrzywszy się do woli, skierował się na ścieżki sadu pełnego gąszczu krzewów i starych drzew, w których, wedle opowiadań ludzi, nocą straszło, a szczególnie wokół chaty, chylącej się od starości, o słomianym dachu, od lat gnieźdzącego w sobie dużą ilość sów i puchaczy.

Nucąc z cicha dumkę, niebawem stanął na ojcowiznie. Przeskoczył płot ułożony z giętkiej brzeziny, wdrapał się na strych, zdjął wierzchnie odzienie i runął w przetarte już siano, naciągając na siebie leżący obok długi, barani kozuch. Położywszy kufak pod głowę, zasnął. Nie słyszał już piania kogutów ani porannego świergotu ptaków, cieszących się nastającym dniem. Znajdował się w krainie snów, podziwiając piękność swej ukochanej dziewczyny. Widział ją teraz nad brzegiem Gniezny, wśród rosochatych wierzb, ścielących lśniącą od słońca wodę złocistym pyłem kwiatów. Za ledwie chwilę trwało to radosne upojenie snem, bowiem stary Semeniuk, jak co dzień, stanąwszy w otworze strychu, gromko wołał:

-Janek! Słońce już w chłopa, wstawaj!

Głos ojca działał niczym zimna woda - w mig zesunął kozuch, przeciągnął się, aż mu w kościach zatrzeszczało, zeskoczył na ziemię, biegnąc ku chatynce stojącej nade drogą obsadzaną krzewami "żółtego groszku".

W izbie na podłużnym stołku stały dwie miski. W jednej dymiły gęstą

parą nie gniecione ziemniaki. W drugiej świecił się paciorkami czerwony barszcz. Po skończeniu porannych modlitw Semeniukowie w trójkę zasiedli do śniadania.

Po śniadaniu Wasyl - starym zwyczajem - pykając fajkę nabitą tęgim bakunem, gderał, wspominając o dłużnikach zalegających od wielu miesięcy, to o psie, który, jego zdaniem, należycie nie pilnuje obejścia, to o żebrakach odwiedzających poszczególnych gospodarzy za kawałkiem chleba, omasty lub paroma groszami.

Broniąc tych ostatnich, Anastazja twierdziła, że są w potrzebie, kiedy zebrają, dlatego też niekiedy ich wspomaga - mówiła.

Chcąc postawić na swoim, Wasyl zabronił wspominać żebrzących, twierdząc, że może to doprowadzić jego gospodarkę do ruiny. Po takowym instruktażu, wkładając połudenek i baryłkę z wodą na wóz, w niespełna jednego pacierza, po wybrukowanym podwórku wjechali na ulicę pełną grząskiego błota, wzdłuż której wąskim i zaniedbanym rowem szumiała wiosenna woda, biegnąca z wyżej położonych sadowskich jarów. Burek biegł przodem, odszczekując się co chwila parsającym koniom.

Za wygonem w Wasyla nagle "złe" wstąpiło, bowiem siedząc dotąd spokojnie, wrzasnął:

- Aby ich święta ziemia pochłonęła! Hołysze! Zbóje! Oberwańcy!

Janek, znając usposobienie ojca, uspokajał go łagodnie, tłumacząc wcześniejsze bycie na polu księdza parocha najmitów.

- Nie obstawaj za nimi - huknął Wasyl - przypatrz się, jaka ozimina u niego - dodał.

- Pewnie Spas mu pomaga - wtrącił Janek.

- Spas - powiadasz - a czy moje modły i ofiary, jakie niedziela w niedzielę składałam w cerkwi, nie trafiają do niego? Czy gorzej służę Bogu od księdza parocha? - złośliwie wykrzykując zapytał ponownie stary Semeniuk.

- Widocznie, że źle - odrzekł Janek, patrząc na Burka uganiającego się za ptactwem i zwierzyną ukrywającą się obok wąskich miedz, pokrytych ubiegłoroczną, wyschniętą już trawą.

Jak okiem sięgnąć mieniły się w słońcu odrastające od ziemi zboża, pośrodku których tu i tam obsadzana drzewami wiła się murowanka. Przy niej właśnie, tuż za czarnym krzyżem, ciągnął się długi i szeroki zagon Semeniuków. Spoglądając pogardliwie na sąsiedzkie wąskie półka, zatrzymał się na brzegu swej ojcowizny.

Oporządziwszy konie do orki, w pierwszą skibę ruszył stary Semeniuk, następne aż do końca prowadził Janek. Konie szły wartko, krojona

lemieszem ziemia, przewracając się leniwie, przybierała w słońcu szarolśniącą szatę.

Burek tymczasem, strzegąc własności swego pana, spędzał z pola szare wrony i krase sroki, koczujące gromadnie nocą na pobliskich boryczowskich topolach. Zmordowany biegł w doliny odległe o kilka staj, by ugasić pragnienie w cicho szemrzącym strumyczku, wijącym się wśród rudych brzegów porośniętych łożyną pełną o tej porze roku srebrzystych baż.

Z chwilą ukazania się na niebie zbioru gwiazd w postaci dużego wozu Semeniukowie zakończyli pracę. Przy świetle mżącego nieba i względnej ciszy wracali do domu. Zajęci własnymi myślami, w niespełna godzinę stanęli przed czarną, brzostową bramą.

- Myślałam, że się co nie daj Boże przytrafiło - otwierając wrota - rzekła Semeniukowa.

- Lepiej byś nie wróżyła, co nam w polu przytrafić się mogło. - Lepiej z wieczera się pośpiesz - odrzekł szorstko Wasyl, wyprzegając konie.

W tym czasie do izby wcisnął się Burek, patrząc na gospodynię trzymającą w rękach gamek z pachnącą strawą, oczekiwał swego kąska.

- Żartbyś tylko, ale gospodarstwa pilnować, to ci nie pilno - huknął gospodarz.

Burek, zwinąwszy ogon pod siebie, czym prędzej czmychnął na podwórko, gdzie po chwili, liżąc ręce Anastazji, doczekał się swej polewki.

Po wieczery Wasyl, starym zwyczajem, gospodarskim okiem wyszedł na obejście dojrzeć inwentarza, z czego korzystając, Anastazja zawołała do zbierającego się na nocleg Janka:

- Słyszałeś, co mówią wokół nas?

- Nie, nie wiem mateńko, nie interesowałem się tym zbyt - odrzekł młody Semeniuk.

- Otóż to, otóż to, że nie słyszałeś - odrzekła. W ubiegły wtorek byłam w mieście za sprawunkami, a że to dzień targowy, więc ludzi było sporo. Obstały mi sąsiadki i znajome i nuże nagabywać, a czy to prawda, że wkrótce odbędzie się ślub naszego syna z Michalskiej dziewczyną, bo już się musi odbyć. A czy to prawda, pytały, że synową do domu bierzecie gołą i bosą? - Mówię ci, że od ich gderania głowa mi puchła. Wprawdzie nie wzięłam tego do serca, bo i dlaczego miałabym brać? - Znam cię przecież. Powiedziałam, żeś młody i wolno ci bywać tu i tam, a jeśli chodzi o Michalskiej dziewczynę, to znasz ją tyle co i inne w Sadach. Wracając z targu, wstąpiłam na plebanię, bo grzechem by było przechodzić obok domu Bożego i nie odwiedzić ludzi w szczególności

sposób służących Bogu. Popadzia, jak zwykle, wprowadziła mnie do kuchni i gadu, gadu o tym, to o owym, aż wreszcie zapytała:

- Semeniukowa, powiedzcie, prawda to, że wasz syn ma się ku Michalskiej dziewczynie? - Powiedzcie, że to nieprawda, boi skądże, syn bogatej i porządnej rodziny zadawałby się z córką wyrobnika.

- Zamrzyło mnie, gdy usłyszałam z ust dostojnej pani te słowa, do tego prawie że w świętym miejscu.

Janek, słuchając słów matki, omal nie krzyknął. Pohamował się jednak i zapytał spokojnie: - Słyszeliście to materńko z ust popadii?

- Tak mój synu - odrzekła.

- Ach, to tak - szepnął. Cóż złego uczyniła cerkwi Michalskiej dziewczyna?

- Może ubóstwo w oczach parocha czyni ją niegodną naszego domu?

- O myli się plebania, mylą się targowe kumoszki. Patrzcie, święte miejsce i dostojna rodzina. - Dlaczego paroch i jego cerkiewni bracia nie zajmą się na przykład dziedziczką Lebediową lub Iwanowską, czy dlatego, że za nimi majątek przemawia i to ich oczyszcza z brudów, w których się nurzają - ciągnął.

- Bój się Boga, mój synu, grzeszysz. Bacz, by cię Najwyższy nie skarał. Obrażasz dom boży i sługi jego - rzekła wystraszona matka.

Wejście Wasyla do izby przerwało rozmowę intymną między matką i synem. Niebawem, klęcząc odmawiano wieczorne modlitwy, a kiedy księżyc zawisł nad brzostami, muskając izbę swym bladym obliczem, panował już tam błogi spokój, który ino świerszczyk gdzieś w rogu chaty przerywał, gwizdząc ospale domownikom do snu.

## Rozdział II

**P**od wieczór, rażnym krokiem, ogrodami w kierunku wertepów podążał wysoki, barczysty młodzieniec. Zarzucając co chwilę bujną, czarną czuprynę ciągle przyspieszał kroku. Znalazłszy się po drugiej stronie grabowej "ścianki", przystanął, wpatrując się w rozdroża ubrane w zieleniejące agresty i porzeczeki, kiedy dojrzał wśród krzewów wysmukłą postać dziewczęcia - zakrzyknął uradowany:

- Jednak jesteś - posądzałem, że nie przyjdiesz - dodał młody Semeniuk, bowiem on to przeprawił się ścieżkami Sadów na spotkanie z Janką, córką Michalskiej.

- Ja też nie spodziewałam się się ciebie - odrzekła, opuszczając ku ziemi duże, niebieskie oczy, nad którymi zataczał się wąski łuk czarnych brwi, okalający długie, jedwabiste rzęsy. Opalona wiatrem połnym twarzyczka, spływające na kwiecistą sukienkę kucze włosy czyniły z niej królową z bajki tysiąca i jednej nocy. Kształtne lecz spracowane ręce ciągle były w ruchu. To prawa śmignęła nad głową, by odrzucić do tyłu uciekający lok, to znowu lewa, zrywając pączek wschodzącego listka czarnej porzeczeki, niby sosna stojąca nad brzegiem świętego gaju, chylała się to w jedną, to w drugą stronę, zabarwiając ten ruch łagodnym brzmieniem aksamitnego głosu.

- Nawet nie wiesz, jaki szczęśliwy jestem, widząc cię w zdrowiu - szepnął Janek.

- Tak tu wokół pięknie - odrzekła półgłosem.

Janek, unosząc oczy ku górze, niespodziewanie z całej mocy przyłgął ustami do rąk ukochanej istoty.

- Kochany - szepnęła.

- Kochana - odpowiedział, obejmując jej kibić.

Trwałiby w tym miłosnym zapomnieniu z pewnością do zmroku, gdyby nie Marcin znad "ścianek", który, jak nigdy przedtem, zjawił się tam, idąc na skróty do miasta.

Nie chcąc marnować dzisiejszej randki, Janka zaproponowała udanie się do jej domu. Janek ohołnie wyraził zgodę i trzymając się za ręce, wracali do Sadów. Przed Michalskiej bramą mocniej jak dotąd ogamawszy jej dłoń, szepnął:

- Podjąłem decyzję!

- Jaka? - zapytała.

- Kocham cię, zatem pragnę, żebyś została moją żoną. - Co Dziwisz się? Myślisz, że zmysły postradałem? Dlaczego płaczesz? Powiedziałem coś złego? - ciągnął rzucając pytaniami.

- Nie, nie, ja tylko tak. Jestem rozrzewniona twym nagłym oświadczeniem - odrzekła. Jakże to się stanie? - zapytała, chyląc głowę ku ziemi.

- Jeśli i ty tego pragniesz, stanie się wedle naszej obopólnej woli. O, za chwilę poproszę twoją matulę, by mi cię dała.

Nacisnąwszy skobel bramy, za chwilę znaleźli się w izbie. Panował tu skromny półmrok, który dniem i nocą rozjaśniała lampka oliwna gorejąca przy głównej ścianie chaty. Oprócz czysto utrzymanych w izbie mebli, jak: skrzynie koloru wiśni, bambetel, ława i trzy składane krzesła, w alkierzu stały dwa łóżka przykryte samodziałową płachtą białą, na których wezgiłowiu, jak zwykle na niedzielę, piętrzyły się różnokolorowe poduszki. Dopelniając uroku, podłogi z ubitej gliny w obu pomieszczeniach odświętnie wysypane były czerwonożłocistym piaskiem.

W chwili wejścia Janka z Janką do mieszkania młodsze rodzeństwo Michalskiej, a to ośmioletni Franek i nieco starsza Julia - na przykazanie matki - wybiegło z izby.

Michalska, której w dzień urodzin nadano imię patrona - Józefa, mimo swoich czterdziestu pięciu lat, wyglądała młodo i rześko. Po utracie męża przechodziła trudne koleje życia. Nigdy jednak nie skarżyła się nikomu. Radością ponad wszystko były jej dzieci. Toteż rosły w zdrowiu i beztrąsko, chwając często nieboszczyka dziadka jako znakomitego rzemieślnika, który w tłuste lata wiele zarabiał, uciął nieco grosza, kupując przy okazji parę morgów ziemi i domek. Niestety w latach chudych miesiącami tkwił bez pracy, zbywając powoli zaoszczędzony pieniąż. Odsprzedał prawie całą nabytą ziemię, zostawiając jedynie domek z młodym sadem i kilka skib ornego pola.

Wracając do chwili wejścia kochającej się pary do izby, Józefa ze zdumieniem przyjęła oświadczyń młodego Semeniuka. Przecierając oczy, z niedowierzaniem patrzyła w twarz bogackiego syna. Nachodził ją przebłysk niesamowitych myśli, bo i gdzie to córce wyrobniaka do szacownego całą gębą gospodarza. Nie, nie wolno jej sięgać po nie swoje szczęście - miarkowała - tkwiąc w zadumie nie odpowiadała.

Janka, widząc wewnętrzną walkę duchową matki, chcąc ją wyrwać z ekstazy, zawołała:

- Rzeknijcie coś mateńko, bo mi serce pęknie.

Józefa, ocknąwszy się, rzekła dziwnie rozżalonym głosem:

- Niech się dzieje wola Boża. Niech wam na nowej drodze wiedzie

się jak najlepiej, oby nigdy nie zaznaliście ludzkiej krzywdy - zakończyła, czyniąc znak krzyża ręką obficie skropioną własnymi łzami.

Tego dnia u Michalskiej do późnej nocy rozprawiano o sprawach rodzinnych; dopiero stary, ścienny zegar, oznajmiając zbliżający się nowy dzień, wypełnił wnętrze izby błogą ciszą.

### Rozdział III

**M**arek idzie! Marek idzie! - wrzasnęły dzieci bawiące się w przydrożnych śmieciach, porzucając zabawę w posypywanie sobie nawzajem głów kurzem ulicy. Biegły oglądać człowieka rzadko ukazującego się w tych stronach. Wiadomo było, że na imię miał Marek, a że strój miał ciemny i charakter osobliwy, nazywano go Szarym. Był niewidomy. Nie wiadomo, czy od urodzenia nosił znamię kalectwa, czy nabył go w chorobie.

Zatrzymywał się tu i tam, raz na dłużej, czasem tylko na dzień lub dwa. Gdzie mieszkał na stałe, skąd pochodził, trudno było wiedzieć, o sobie nigdy nikomu nie mówił.

Tego dnia, opierając się o grubą trzciniową łaskę, szedł śpieszniej jak zwykle. Minawszy Sady, za Niebieskim Garbem przystanął, wsłuchując się w szmer łożyn rosnących w dolinach, sięgających hleszczawieckich pól. Po zmierzeniu czasu na kolejowym "Roskopie" ruszył do przodu. Południe oznajmiał majątkowy dzwon, gdy pod nogami poczuł rozgrzane uliczne śmiecie. Był w Hleszczawie. Przy końcu drogi gęsto obsadzonej wiśniami zapukał do naterowanej bramy.

- Witajcie! - zawołał najmit Hryć Bandura, otwierając Markowi boczną furtkę.

- Oho, widzę, że jesteście zdrożeni, siadajcie tu na ławie pod wiśnią, ja skoczę po gospodarza - dodał.

- Idy, hołubczyku, idy - rzekł Marek, siadając na podstawioną mu dębową ławeczkę. Niebawem na podwórku stanął wysokiego wzrostu, o czarnym wąsie i z jak żbik kłującymi oczami czterdziestokilkuletni mężczyzna.

- Sława Bohu - zawołał witając Szarego.

- Sława na wikie, podrywając się z siedzenia, odpowiedział Marek.

- Naścia, mamy gości! Poczęstunek przygotuj! - rzekł do żony Medwed, prowadząc gościa pod ramię do izby.

Przy stole, nachyleni ku sobie, nie zwlekając o czymś żywo zaczęli rozprawiać. Gospodarz wiedząc, że Szary odbył pieszo około dwóch mil drogi, nalegał, by ten jadł i pił. Marek chętnie wychylił jedną i drugą miarkę miodu, przegryzając białym serem, po czym wracał do nie skończonej rozmowy. Nie maćona przez nikogo narada trwała do

zmierzchu.

Wieczorem Szary zdradził gospodarzowi, że następny cel jego podróży to Iwanówka. Medwed, wołając najmita, kazał podwieźć gościa tych pięć kilometrów, lecz tamten stanowczo odmówił, powiadając, że jego posłannictwo związane jest z podróżą wyłącznie pieszo.

Noc ogamęła wydłużoną wśród pól wieś Iwanówkę, gdy Szary zapukał do okna niziuteńkiej chatynki stojącej przy drodze, tuż nad dolinami.

Prawie bezszelestnie otworzyły się drzwi, a w nich ukazał się cień człowieka zapraszający szeptem przybyłego do wnętrza izby.

- Sława Bohu detyno, dobrze, że cię zastałem - rzekł prowadzony pod rękę Marek.

- Jesteśmy tu sami - część rodziny śpi w alkierzu, a część na strychu - szepnęła ponownie gospodarz.

Rozmowę prowadzono półgłosem do późnej nocy. Marek, kontent z wykonanego zadania, odmawiając noclegu, tuż przed świtem ruszył do Trembowli. Hnatiuk wręcz błagał, by ten nie szedł nocą w tak daleką drogę. Szary, wzięwszy go pod rękę - wyrzekł chrapliwym i zmęczonym głosem:

- E tam, hołubczyku, koły u menia deń, a koły nicz. Odpoczywać będziemy po wszystkim, gdy wyzwolimy ojczyznę. Rankiem muszę być na miejscu. Ataman czeka. Nachyliwszy się nad uchem Hnatiuka, wyrzekł z pewnością nie trawione przez gospodarza słowo, bowiem ten trząść się począł, a oczy zaszyły mu mgłą. Szary, nie zauważając u Hnatiuka naglej zmiany, dodał:

- To przykaz atamana.

Mimo że świt był tuż, tuż, jednak gdzieś w głębi wsi zatwardziali miłośnicy pieśni nucili je bez wytchnienia, wysyłając cudowne melodie z rosą na pola.

Marek, wsłuchany w nocną pieśń radości, szedł niezmiernie w obranym przez się kierunku. O pierwszym brzasku wschodzącego słońca, mającego wychylić się zza Dębiny, postanowił odpocząć pod figurą, stojącą samotnie wśród pól. Przykucnąwszy od północnej strony na omszałym stopniu, wodząc palcem po swym "Roskopie", szepnęła: "trzecia". Po czym pobiegł myślami wokół figury, pod którą siedział, do jej potężnych rozmiarów, pamiętającej hordy tatarskie powracające z bitwy pod Legnicą, będącej dla podróżnych wymiarem odległości i czasu. Latem w chwili doskwierania słonecznego żaru w jej cieniu znajdowano przyjemny chłód. Natomiast zimą, które bywają tu srogię, tuliła do siebie zmarzniętych osobników przed nagle zrywającym się huraganem wiatru, niosącym

niejednokrotnie potężną zadymkę.

Szary, znając historię tej ziemi, kochał ją ponad wszystko. Siedząc wsłuchiwał się w szmer trawy, sterczącej na brzegach przydrożnych rowów. Pokrzepiwszy się na siłach, po kilku małych chwilach wznowił przerwana podróż. Do miasta przybył później, jak przewidywał.

Przed plebanią pierwsza zobaczyła go Marijka, służąca parocha. Wiedziała, że trafi on do sieni bezbłędnie, skąd o jeden krok na pokoje księdza pułkownika. Przyglądała mu się z rzędu po raz któryś, a gdy jak cień przesunął się obok drzwi kuchennych, przeszła jakowąś trwogę, czyniąc po trzykroć znak krzyża - szeptała:

- Boże, bądź miłościw duszy mojej.

W pokoju księdza parocha panował półmrok. Za stołem przykrytym niebieskim aksamitem siedziało kilku sędziwych mężczyzn. Byli to: Solowij znad rzeki, który lata swoje strawił w świecie za morzem, Smereka zza Zamkowej ulicy oraz Kirył z Zielonej. Ten ostatni wprawdzie w latach im nie dorównywał, za to rozumem przewodził.

- Wróciłeś? - zapytał ksiądz Martyluk jawiącego się w progu Marka.

- Wróciłem - odrzekł Szary, uginając się ze zmęczenia. - Odwiedziłem Medwedzia i Hnatiuka, jak kazaliście, otcze - ciągnął - Mikietą to orzeł i ogień - nasz to człowiek. Hnatiuk natomiast - zupełnie co innego. Medwed dobrze się miewa. Bydelka tam sporo i najmit ciekawy, a w izbach bogaciwo i ład. Odmiennie jest u Hnatiuka. Już z ulicy czuć niedostatek. W chatynie pod strzechą, o jednej izbie i alkierzu dzieci co niemiara, o ile wiem, wiosną przybyło mu ósme.

Po wysłuchaniu ogólnych wrażeń Szarego, przystąpiono do właściwej narady. Mówiono jednak głosem, który nie mógł przenikać poza ściany tej komnaty. Tym razem obrady trwały do godzin popołudniowych. Pod wieczór cerkiewni bracia, opuszczając w pojedynkę plebanię, dawali duży podziw Marijce za wytrwałość w służbie dniem i nocą. Ona natomiast, zamykając drzwi za ostatnim bratem cerkiewnym, szepnęła:

- Chwała Tobie Panie, że nie muszę tu dzisiaj dłużej sterczeć.

Wiedząc, że przez obite skórą drzwi nie przedostawała się nigdy chociażby najdonośniejsza mowa, nie podsłuchiwała. Jedyny raz tylko podczas którejś z narad przez uchylone drzwi usłyszała suchy głos brata Solowija, który wychodząc z komnaty, rzekł rozsierdzonym głosem:

- Pomyliłem się! Ukazaliście prawdziwe wnętrza waszych dusz! Jestem tu niepotrzebny - dodał opuszczając plebanię.

Od owego dnia nie widziano go więcej na sobotnich zebraniach,



tym razem jednak na usilne prośby księdza parocha przybył służyć radą zebranym braciom.

### Rozdział III

**S**obotniego popołudnia na dolnej murowance rozległ się głos jęczącego psa. Pobliscy mieszkańcy, wyglądając przez opłotki, zobaczyli szarego wilczka z Potoków, pędzącego w kierunku wygonu z uwiązaną do ogona blaszaną bańką. Za nim, wprawdzie w dużej odległości, w rozchełstanej koszuli biegł stary Zieliński, krzycząc:

- Obyś zdechł, psi synu, abyś zmarniał jak śnieg tamtegoroczny. Ażeby ci kiszki popękały, diabelskie nasienie. Niech cię ino dopadnę, popamiętasz mnie ruski miesiąc.

Jeszcze nie ustąpił wywołany psią gonitwą kurz uliczny, jeszcze gawiedź zalegała skraje pobocznych dróg i ścieżek, gdy nagle na krzyżówce pod Kanarkowym ogrodem Semen od Kociuby, wrzeszcząc oznajmił, że do "Jankowej" studni wpadł Wawrzyk Gnuśny. Toteż niebawem zaludniło się wskazane miejsce. Trędowaty, zazwyczaj nieciekaw ludzkich spraw, tym razem nie zwlekając zszedł z żelaznym hakiem w dół studni, zatrzymując się nad lustrem wody. Zniesionym narzędziem szukał po dnie topielca. Przebywał tam bez mała godzinę. Stwierdziwszy, że niczego nie ma, umorusany błotem od nóg do głowy, wyszedł na powierzchnię.

- Szkoda Wawrzka, wycierając podółkiem oczy - mówiły kobiety. - Dobry człowiek i tak mu się przydarzyło.

- Już mu nawet nie pamiętam tego, że mi w ubiegłym roku ukradł ze stajni kożuch barani - rzekła płacząc Ślimakowa. Niech tam, on już na prawdzie - patrząc gdzieś w górę ciągnęła.

- Niech z Bogiem spoczywa. Niech mu ziemia lekką będzie - dodał Hradobij.

Tymczasem z bocznej uliczki wyłonił się jednokonny wóz. Kołysząc się po wyboistej drodze, zbliżał się do grupy ludzi otaczających studnię. - "Co za licho tyłu ich tu przygnało?" - myślał przybyły.

Zszedł z wozu, przyciągnął lejce do luźni. Trzymając w ręku pleciony bat, wszedł między płaczące kobiety.

- Jezus Maria! Wawrzyk! - Wy tu? - wrzasnęła żegnając się Burdiukowa.

Słowa jej na pozostałych podziałały niczym piorun z jasnego nieba. Dziesiątki oczu zwróciło się ku niemu. Tylko Semen od Kociuby widząc, co się święci, zerwał się, biegnąc co sił w górę ulicy Skalackiej, a stamtąd w Grzymałową Dolinę, gdzie za pierwszym zakrętem, zanosząc

się śmiechem, zniknął w podboryczowskich łożinach.

Kilku odważniejszych młodzianów ruszyło za nim, by dać mu nauczkę, niestety tamten okazał się szybszy i bystrzejszy. Wielu gospodarzy klnąc wyrzekało na niesfome figle Semena - radzono, w jaki sposób by je ukrócić lub pozbyć się, jak mówiono - niezdrowego żartownisia.

- Trzeba Kociubie przygadać, by go ze służby wydalili - radził Gregorcowicz.

- A swego najmita wydalibyście za tego rodzaju figle? - wtrącił się Gajkowicz. - Kociuba za nic Semena ze służby nie oddali, gdyż ten pracuje u niego prawie darmo - dodał.

- Prawda to oczywista, że darmo pracuje, wiem, że Semen dla Kociuby więcej znaczy aniżeli para koni - rzekł Popiołek.

- Silniejszego i głupszego najmita nie znajdzie - dodał.

Tymczasem Wawrzyk, splunąwszy w kierunku studni, zawrócił konie i ruszył w powrotną drogę z myślą - "dlaczego akurat jego uczyniono topielcem"? Postanowił w najbliższej przyszłości w ciemnym kącie rozliczyć się z Semenem.

Medytując o tym i owym, niebawem znalazł się w polu przed małą figurą, zza której wyłonił się znajomy mu człowiek.

- Dokąd to, panie inżynierze? - zawołał znieścacka.

- Na spacer, panie Gnuśny - odrzekł tamten - a tak naprawdę to do miasta na zakupy - dodał skręcając na dróżkę prowadzącą wprost na krowinieckie pola.

- Nie nabierzesz mnie, braciszku - pomyślał Wawrzyk. Nie tędy droga do miasta. Nie raz i nie dwa widziałem cię, Bereza, spieszącego na cerkiewną plebanię odlewać świece. Ho, ho, znam was, ptaszęta - mruknął Gnuśny - popędzając konia - by przed nocą lucerny ukosić i do domu zdążyć.

Gniady, rozumiejąc swego pana, przyśpieszył kroku, zostawiając za sobą ogromne kłęby kurzu zmiecane wiatrem na przydrożne pola.

Nad nieboskłonem od strony monasteru zbierały się chmury. Podłużne i niekształtne, rozdzielane pasami czystego nieba oznajmiały zbliżającą się burzę.

Gnuśny, spoglądając w tamtą stronę, częściej poganiał Gniadego, by jeszcze przed deszczem znaleźć się w domu.

Na polu, przykosiwszy naprędce niedługi pokos lucerny, ułożył po brzegi drabiniastego wozu i ruszył niezwłocznie z powrotem ku Sadom. Siedząc wygodnie na wymoszczonym zielonką siedzeniu, oddał się dręczącym go myślom. Znajdował się od domu zaledwie o kilka staj, gdy

z zadumy obudziła go zygzakowata smuga błyskawicy, w ślad za którą odezwał się suchy trzask pioruna.

- Wio, Gniady! - zawołał z myślą, że za chwilę znajdzie się pod własnym dachem.

Niestety, silny, zachodni wiatr, niosąc ze sobą zerwane grzebienie słomianych dachów, przyniósł jednocześnie ulewny deszcz.

Wawrzyk, chcąc uniknąć przemoknięcia, skoczył pod okap najbliższego budynku, wciskając się w róg malowanej na niebiesko "wałkowanej" ściany. Przy którejś z rzędu błyskawicy dostrzegł pod tymże okapem młodego Semeniuka.

- Jak się masz, Janku - zawołał.

Odpowiedzi nie usłyszał, bowiem lecąca w tym momencie z zawrotną szybkością ognista nić ugrzęzła w gąszczu gospodarskich budynków, wywołując nagle pożar stodoły Rabowicza.

Mimo szalejącej burzy wokół palącego się gospodarstwa zbiegło się sporo ludzi. Jedni, obejmując dowodzenie, ustawiali przybyłych w odpowiednie miejsca, inni, słuchając rozkazania, wykonywali ciężkie i niebezpieczne czynności. Wielu też stojąc przyglądało się żywiołowi beczynnemu. Wśród ratujących wyróżniał się młody Semeniuk. On to wprost z szalejącego ognia wyprowadził konie, bydło i nierogaciznę, po czym niezmordowanie nosząc z pobliskiej studni wodę, oblewał nie tknięte jeszcze ogniem sąsiednie słomiane dachy.

Deszczowa burza z wolna przemieszczała się na wschód, wzmacniając tym samym żar płonącego budynku. Więźba dachowa runęła między ponuro sterczące ściany, gdy z miasteczka pełna werwy przybyła straż ogniowa. Uruchomione siłą rąk pompy wyciskały poprzez długie, parciane węże silny strumień wody, uderzając nim w resztę ginącego już ognia.

Prawie nad ranem znużeni wartownicy rozchodzili się do swych domów, zostawiając zgłiszczą domownikom i straży. Na przelaj przez ogrody wracał też młody Semeniuk. Nie zdziwił się, widząc w oknie rodzinnej chaty światło naftowej lampy, bowiem prawie w każdym domu świeciła się jeszcze lampa lub "bidyczka".

- O matko! Co z wami? Jesteście cały umorusany - otwierając drzwi od sieni młodemu Semeniukowi - zawołała najmitka Faurona.

- Gdzie byliście do tak późna? - Pewnie przy pożarze - dodała.

- Byłem tam, gdzie wszyscy - odrzekł, omijając rozłożony na ziemi bartóg.

- Wieczera na kuchni - rzekła, wyciągając z podsufłoka glinianą miskę.

- Gdzie ojciec i matka? - zapytał, jedząc łapczywie pierogi z gryczanej kaszy, suto smarowane masłem własnej roboty.

- Gospodarz jeszcze z wieczora poszli na plebanię. Mówili, że świece odlewać, a gospodyni do ognia pobiegli - odpowiedziała.

- Ach! Co to? - zawołała nagle, zobaczywszy za oknem stojącą postać.

Janek, odwracając się, zobaczył za szybą znaną mu twarz o palących się ogniem oczach, z sumiastymi wąsami i spadającymi spod czapki kłopciami włosów.

- Wasze łóże? - zapytał patrząc na rozłożone po ziemi wyrko.

- Moje - odrzekła.

- Kładźcie się, a ja posiedzę tu na ławie - przybysz za oknem z pewnością do ojca - powiedział uspokajająco Janek.

Najmitka przestraszona widziadłem legła posłusznie w rozłożony bartóg, przykrywając się samodziałową płachtą utkaną w warsztatach boryczowskich tkaczy.

Młody Semeniuk tymczasem rozmyślał; intrygowała go sprawa ojca, szczególnie częste, może nawet za częste, odlewy świec. Przesiedziawszy bezczynnie kilka pacierzy, postanowił ułożyć się do snu. Zerkając na tryskające zdrowiem odkryte uda Faurony, usnął, niezwłocznie chrapiąc, znalazł się nad ścianką w małej chatynce, gdzie gorzało jego szczęście i miłość.

Powrotu rodziców nie słyszał. Obudził go zajadły głos Burka. Zagląając przez okno, zobaczył ojca zajętego rozmową z Szarym Markiem.

- "I znowu przyszedł ojca tumanić, diabeł wcielony" - pomyślał.

Narzuciwszy w pośpiechu codzienne odzienie, wybiegł przed dom, by pod krzewami "groszku" usłyszeć szepty dwóch cerkiewnych braci.

- Najprawdopodobniej rozszyfrowano nas - rzekł na odchodne Szary.

- Chryste! Skąd ta pewność? - zapytał mocno zatrwożony Wasyl.

- O tym później - teraz, nie zwlekając, należy powiadomić Kirytosia, aby nie zbłądził - dodał Marek półgłosem - kierując się w dół ulicy.

Młody Semeniuk nie żałował przemoknięcia pod mokrym krzewem, bowiem zdobył wiadomość, której się spodziewał od dawna.

## Rozdział V

**P**opieść się hołubczyku z najmitką, popieść - mruknął Medwed, odchodząc spod okna Semeniuków.

Niebawem, pukając do drzwi cerkiewnej plebanii, prosił służącą Marijkę, by zgłosiła ojcu duchownemu jego przybycie.

- Oteć już na nogach, wybiera się oglądać pola; najmita już o trzeciej budziłam, by koniom obroku przysypał i sam był gotowy ze świtem do drogi - rzekła, znikając w ciemnej sieni.

Paroch, poruszony niecodziennym w korytarzu hałasem, wyrzwał przez drzwi komnaty; zobaczywszy Medwedia, zaprosił do wnętrza. Pozdrowiwszy tradycyjnie Boga, przystąpili do rozmowy. Zmęczony całonocną wędrówką Mikieta - rozsiadłszy się w głębokim fotelu - rozpoczął meldunek od opowiadania o uderzeniu pioruna w stodołę Rabowicza.

- Tym razem burza przyszła mi z pomocą, otcze. Ślady woda zmyła - szepnął. Nie zapominając o druhu Wasylu, wstąpiłem pod okna jego zobaczyć, czy wrócił z miasta - i wiecie, co ujrzałem? - a właśnie zobaczyłem młodego Semeniuka, zabawiającego ich najmitkę. Wasyla ani Anastazji w izbie nie było. Byli sami, skręcili lampę, więc odszedłem - dodał.

- Byli sami powiadasz? - zapytał ksiądz, zastanawiając się nad czymś. To dobrze, to bardzo dobrze. Muszę z nią porozmawiać - rzekł ucieszony paroch. Wprzód jednak uprzedzę Wasyla, pouczę go, co i jak. On, wiesz, pragnie się wzbogacić. O, na przykład odpuścimy mu piaskową górę - dodał.

Resztę wolnego czasu spędzili na omawianiu zagadnień interesujących jedynie cerkiewnych braci.

Słońce wyrzało zza kuźni Domerackiego, gdy ksiądz paroch - podnosząc się z krzesła - powiedział:

- Idź i buduj, a Berezie dawaj wiarę jako mnie. Skinął na najmita oczekującego od godziny - gramoląc się do bryczki - zawołał: - Jedziemy!

Siwe konie, ruszając z miejsca, zostawiały na miękkim gruncie ślady podkutych kopyt i żelaznych obręczy kół, które Marijka, zgodnie z panującym tu porządkiem, niezwłocznie wyrównywała, przysypując je świeżym, szarym piaskiem.

Ksiądz Martyluk, siedząc rozparty w żółto malowanej bryczce,

zdawał się drzemać. Gdy znalazł się w polach, ożywił go widok łąnów zbóż należących do cerkwi, które po nocnej, deszczowej burzy przyległy miejscami unosząc ku górze siwe, kwieciami obrosłe kłosa. Ponadto budził w nim zachwyty radosny świergot ptaków, szmer trzmieli i pszczoł, różnokolorowych motyli i wałek oraz zapach kwiatów polnych, niesiony przez południowo-wschodni wiatr.

- Piękna jest nasza ziemia - szepnął schodząc z powózki. Rozglądając się wokół, wszedł na wąską dróżkę wzdłuż zieleniejących dziurawców i piołunów, prowadzącą do granicy dzielącej ziemię wielkopańską od chłopskiej.

Po około dwugodzinnych oględzinach swych łąnów wyruszył z powrotem ku Sodom. Po drodze zatrzymując się u Semeniuków, poprosił krzątającą się w obejściu najmitkę o przywołanie gospodarza. Werenycia tymczasem, rozsiadłszy się w wymoszczonym siedzeniu, pilnie przyglądał się biegnącej Fauronie - myśląc - że też nie mogła znaleźć sobie lepszego miejsca na służbę, a taka ładna. Mogłaby być w mieście przynajmniej guwemantką.

Tymczasem najmitka, wleciawszy do sadu, oznajmiła Semeniukowi, że w podwórku oczekuje go ksiądz paroch.

- Jakiego diabła znowu chce? - huknął utartym zwyczajem Wasyl.

- Ejże, Semeniuk! Tak to witasz swego druha? - zawołał duchowny, wchodząc śladem Faurony do sadu.

Wasyl, wycierając ręce o błyszczące od brudu spodnie, spojrział na słońce, po czym z wymuszonym uśmiechem pośpieszył witać niecodziennego gościa.

- Słuchaj druha, wpadłem tylko na chwilę - rzekł paroch. Nie mam czasu na dokładne wyluszczenie sprawy, zresztą nie tu na nią miejsce, byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś był łaskaw powiedzieć... w czwartek wieczorkiem wpaść na plebanię. Nachylając się ku gospodarzowi - szepnął półgłosem:

- Mam do ciebie ważną i korzystną sprawę, nie zapomnij, czekam.

Wszystko to stało się tak nagle, że Wasyl, stojąc z opuszczonymi rękami, wsłuchany w szybko wymówione, rozkazujące słowa, nie zauważył przed bramą parskających koni, ciągnących w dół ulicy bryczkę z siedzącą w niej duchowną osobą. Ocknął się, gdy Anastazja, wychodząc z obory ze skopcem mleka, zapytała:

- Co się stało, że tym razem ksiądz nie wstąpił do izby i tak rychło odjechał?

- A tak, pojechał do diabła. No mówię, że pojechał, tłumaczył się brakiem czasu - poprawiając się - dodał Semeniuk.

- Świątobliwy to człowiek - rzekła nabożnie Anastazja.

- O tak, znam go, znam. Oczywiście, że jest to człowiek pełen świętości - odparł Wasyl. Nagle, przypomniawszy sobie wtłoczoną przez Szarego przestrożę, postanowił właśnie dzisiaj odwiedzić Kiryłosa, oklamując Anastazję, że cyrulik odstawił jałówkę na sprzedaż, a że pochodzi od holenderki, rzecz warta świeczki - wmawiał. Przygotowując się do wyjścia - dodał:

- Mamy okazję, w oborze nie zawadzi jeden ogon więcej.

Anastazja, znając obrzydliwą chytryść i chciwość męża, nie stawiła sprzeciwu, wiedziała bowiem, że upór na nic się nie zda. Nie przypuszczała jednak, że był to manewr Wasyla, chcącego zmylić domowników.

Semeniuk nie zatrzymywał się dłużej i, jak zawsze, w tamte strony udał się ogrodami na skróty. Gdy stanął u Kiryłosa na podwórku, zauroczył go miły ład i porządek.

- Śława Bohu - rzekł Wasyl, zobaczywszy uwijającą się w przydomowym ogródku gospodynię. - Gospodarz w domu? - zapytał.

Ostrożna Kiryłosiowa nie zaraz odpowiedziała przybyszowi z trzeciej ulicy, dopiero po chwili, odwzajemniając się pochwaleniem Boga, odrzekła:

- Akurat zastaliście, jest w mieszkaniu, zapraszam - dodała, prowadząc gościa do alkierza, gdzie na miękkim pościeliu leżał zmizerowany lecz uśmiechnięty Kirył.

- Ot co! Ja tu w goście, a wy w łóżku, idąc z wyciągniętą ręką na powitanie - zagaił Semeniuk.

- Witam was, miły druha - odrzekł tamten - odpoczywam po wczorajszym dniu. - Zośka, zajmij się gościem, przynieś po kubku wiśniaku - dodał.

Semeniuk wpatrzony w bladą twarz cerkiewnego brata, nagle zapragnął dociec, co było przyczyną jego nagłej choroby. Ruszając z tą myślą do przodu, zapytał:

- Czy przypadkiem dzisiaj nie był ktoś z miasta?

- Był jakiś chłystek - odpowiedziała gospodyni, stawiając na stół butelkę i kubki.

- Mówicie, że jakiś, jakże więc wyglądał? - ponowił pytanie zatrwożony Wasyl.

- Taki zwykły to on nie był, gdyż język miał obrotny, a oczami po obejściu ino strzelał. Niby o adres Mendenki zapytywał, to znowu o drogę najbliższą do szkoły, a widać, że bystra bestia - chciał wiedzieć między innymi, kiedy mąż wróci od pożaru.

- O Boże, jęknął z cicha Semeniuk.

- Zaraz ci odpowiem - rzekłam - zaczekaj, ino Rozboja z łańcucha spuszcze. Podskoczyłam do budy, odpięłam psa, tamten tymczasem, widząc, co się święci, czym prędzej umknął za bramę.

Kiryłoś w tym czasie napełniając kubki, dał żonie do zrozumienia, że pragnie z gościem zostać sam na sam.

- Wypijmy więc po jednym - zachęcał gospodarz, trzymając w rękę porcelanowe naczynie czerwonego płynu. Umaczawszy usta w nalewce, zapytał:

- Jest coś nowego? Wiem, że inaczej byście tu nie przyszli taki kawał drogi.

- Szary kazał was ostrzec - rzekł pośpiesznie Wasyl.

- Spodziewałem się tego - odrzekł Kiryłoś.

- Co? Jak to? Wiedzieliście, że przyjdę? Ktoś was śledzi? - zawołał podniecony strachem Semeniuk.

- Pewnie chłystek, którego Zośka z obejścia psem wyszczuła - odrzekł gospodarz. Może się mylę, uważam jednak, że ksiądz Martyluk działa mało roztropnie. Nie pochwalam hasel głoszonych przez niego. Znienawidzanas przez to nawet najbliżsi. Osiągnięcie wskazanego celu wymagałoby pozbycia się z naszej ziemi ludzi innych nacji, szczególnie Lachów i Żydów, a to jest niemożliwe i niehumanitarne - dodał.

- Ho, ho, i pop by mi lepszego kazania nie wstawił - pomyślał Wasyl - podnosząc się z krzesła. - Aha, byłbym zapomniat, mam do was i drugą sprawę - wyrzekł - słyszałem, że sprzedajecie jałówkę od holenderki.

- Jałówkę? A skądże? Owszem trzymam tego ogona, ale sprzedać nie zamierzałem - odrzekł uśmiechając się Kiryłoś.

Semeniuk zmarkotniał, słysząc odpowiedź. Zamienił jeszcze kilka mało znaczących słów, pożegnał druha i znów jak przedtem na przelaj udał się ku domowi. Z głowy nie mogła mu zejść jałówka. "Skąpy ten Kiryłoś, żeby odmówić tak istotnej transakcji" - rozmyślając o tym, nie zauważył, że znalazł się na własnym podwórku.

## ROZDZIAŁ VI

Semeniuk, utwierdzony, że żyto dojrzało - skoro świt, w słoneczny, lipcowy poranek z Jankiem i najmitami drabiniastym wozem wybrał się na pole, oddając się rozmyślaniom. Jak zwykle, pieklił w duchu, że mu się w życiu nieszczęści, a szczególnie z parochem, Janek natomiast myślami znajdował się w Michalskiej ogrodzie przy Jance.

Faurona, przełożywszy nogi między szczeble drabiny, lubieżnie zerkata w stronę Maksyma, który zdawał się drzemać, wsłuchując się w turkot wozu, nucił podolską pieśń.

Tuż za czarnym krzyżem Wasyl, zatrzymując konie, wszedł w ojcowiznę. Uczyniwszy znak krzyża, począł głaskać dorodne, pobielate kłosa. Napieściwszy się do woli dotykiem plonu, rozporządził, kto i co będzie na polu czynił, wszedł z rozmachem w pierwszy pokos, postępując krok za krokiem naprzód. Za nim szła Faurona, zbierając ze ściany skoszone zboże. Dalej szedł młody Semeniuk z długą metrowką, za nim barczysty najmit wiązał równe snopy, układając je w piętnastki.

Pod południe słońce przygrzało; mężczyźni, chroniąc głowy, nałożyli słomiane kapelusze, których obrzeża rzucały cień na twarz i szyję. Faurona krucze włosy ubrała w czerwoną chustkę, wiążąc ją jednym końcem tuż nad plecami. Chętnie pozbyłaby się części odzienia, nijak jednak byłoby pracować wśród mężczyzn, świecąc golizną, a szczególnie w obecności młodego Semeniuka, który, nie wiadomo dlaczego, był dla niej nieosiągalny.

- Ej, hołubczyku, żebyś ty nie był bogaty - myślała niekiedy, patrząc w jego stronę.

W południe wydawało się, że świat zamarł od spiekoty. Ucichł szczebiot ptasząt i wesoly brzęk pszczoł pracowitych. Chowało się w chłodzie wszelkie drobne stworzenie.

Połudenek spożywano pod jedną z ułożonych piętnastek. Tego dnia pracowano do późnego wieczora.

Do domu zjechali prawie o północy. Po wieczerzy Janek, korzystając z tego, że ojciec, starym zwyczajem, osobiście na noc wyszedł dojrzeć inwentarza, oznajmił matce, że jutro zamierza dać na zapowiedzi z Michalskiej dziewczyną.

Anastazja omal nie zemdlala, słysząc tak nagłą Janka decyzję. Po chwili, złapawszy tchu, rzekła:

- Wiedziałam, że się kiedyś to stanie, nie myślałam, że już, że tak nagle. Co ci tak pilno, synu? - zapytała. Zaczekaj, może z czasem odmieni się wola ojca. Widzisz, on nie lubi tej dziewczyny - dodała.

- Już postanowiliśmy materko. Wiem, że ojciec wyrzuca mnie z domu. Trudno, majątku nie oczekuję - odrzekł - a jeżeli chodzi o Michalskiej dziewczynę, to nieprawda, że ojciec tylko jej nie lubią, oni nienawidzą wszystkich niemających, bynajmniej tak mi wpajano od dziecięcych lat - dodał.

- Chcesz nas opuścić? Nie zważasz na moją i ojca starość? - zanosząc się płaczem - zapytała.

- Pragnąłbym, materko, żeby nasz dom był i jej domem, jednak z woli ojca będzie to niemożliwe. Chciałbym wnieść do naszego domu wiele szczęścia i radości, niestety złośliwa nienawiść plebanii do Michalskiej i jej dziewczyny zamyka tę drogę - dodał.

W sieniach skrzypnęły drzwi, do izby wszedł Wasyl. Janek skinieniem głowy pożegnawszy matkę, udał się na strych odpocząć w tegorocznym, pachnącym sianem.

Nad ranem, jak zwykle, stary Semeniuk pokaszłując budził najmitów i Janka. Pierwsza na podwórku, obmacując kury, zjawiała się Faurona, za nią ze żdźbłami słomy we włosach wyskakiwał ze stajni Maksym. W niedługą chwilę potem, gładząc rozczochrane włosy, schodził ze strychu młody Semeniuk. Rozpoczął się normalny gospodarski dzień.

Anastazję koczyło, by powiedzieć mężowi o zamierzeniach Janka; nie bacząc na jego dzisiejsze złe usposobienie, rzekła:

- Powiedział mi wczoraj nasz syn, że zamierza dać na zapowiedzi z Michalskiej dziewczyną - co ty na to?

- Co? - wrzasnął Semeniuk - Isuse! Czy jesteś? Prawda to, czy zmyśliłaś Anastazjo? Zamorduję! - huknął wybiegając z podwórza w dół ulicy.

- O Boże! Co ja zrobiła! - zakrzyknęła Semeniukowa. - Pewnie Michalską ukatrupi - wybiegając pod stajnię rzekła do Janka.

Młody Semeniuk, tknięty złym przeczuciem, nie zwlekając, bosy, w krótkich spodenkach z rozwianymi włosami popędził na przelaj do Michalskich.

- Co cię przypędziło? - zawołała Józefowa zobaczywszy Janka tak rano i w przedziwnym stroju.

- Wszyscy w domu? - zapytał.

- Wszyscy - odrzekł.

Za drzwiami od sieni wyglądnęła Janka.

- Ach ty mój kociu! - zawołał młody Semeniuk, biorąc dziewczynę

w ramiona.

Niezwyczajna wizyta Janka wprawiała Józefową w zadumę. Była więc jak pewna, że u Semeniuków się coś wydarzyło. Podobnie odczuła to Janka, toteż po chwilowej euforii wysunąwszy się z rąk ukochanego zapytała, czy u niego w domu wszystko w porządku.

Janek, stojąc pod rozkosznie rosnącą nad płotem czeremchą, pośpiesznie omówił przyczynę zjawienia się tu o tak wczesnej porze i w niezbyt przyzwoitym stroju.

- Ach to tak! - rzekła Janka. Wiedziałam ojca przed chwilą idącego, jakby się śpieszył - w kierunku miasta.

- Jeśli tak, to wiem, gdzie poszli - nigdzie indziej jak do cerkiewnej plebanii - powiedział młody Semeniuk. - Mam do ciebie prośbę, Janeczko - ciągnął - mimo że omówiliśmy ze sobą sprawę zapowiedzi, pragnę przypomnieć, by na godzinę szóstą wieczorem byłaś gotowa - dodał - po czym nie chcąc być widzianym przez pobliskich sąsiadów, niczym cień zniknął w labiryncie ścieżek rozległych Sądów, wracając do domu.

Tymczasem rozsierdzony Wasyl zapukał do drzwi plebanii.

Służąca Marijka, wyjrawszy przez okno, szepnęła:

- O, to coś nowego - bowiem nigdy przedtem nie widziała tak zdenerwowanego Semeniuka.

- Sława Bohu - z księdzem parochem widzieć się chciałem - zawołał - wyznaczył mi spotkanie na dzisiaj, a że rano...cóż, żniwa - dodał.

Marijka, spojrzawszy ciekawiej jak zawsze na przybyłego, frunęła w ciemną sień, stamtąd na pokoje, gdzie jeszcze po nocnej naradzie odpoczywał bogoboyny, duchowny pasterz.

- Oteć prosi was do siebie - rzekła stanąwszy przed nim z powrotem.

- Żniwa, panienczko, żniwa - mruknął Wasyl, przyglądając się wpołnagiej dziewczynie.

- Zdrow Semeniuk! - zagrzmiał tubalny głos parocha.

- Sława Bohu - odpowiedział Wasyl, chyłąc do przodu swe rosłe i czerstwe ciało.

- Wejźmy - rzekł paroch, biorąc gościa pod rękę. Co cię przyгнаło tak rano?

Wasyl, rumieniąc się na twarzy, syknął przez zęby:

- Synalkowi żenić się zachciało, wczoraj zwierzył się Anastazji, że dzisiaj przyjdą z modlitwą o zapowiedzi - wyrzekł.

- Widzisz, stary druhu - rzekł paroch - niegdyś u Petlury służyliśmy pod jednym sztandarem i - jednej sprawie, toteż po koleżeńsku przyjmij

ode mnie prostą poradę: Dobrze się składa, że sprawę znamy zawczasu. Szkoda chłopca, w głowie mu zawróciła. Do tego związku dopuścić nie można. W ubiegłym tygodniu podesłałem ci najmitkę, powinna właśnie nim się zająć. Sprytna dziewczyna, a że na razie biedna, temu można zaradzić. Jutro mogę uczynić ją właścicielką góry wolicckiej. No i co ty na to?

Semeniuk, przeklnąwszy pierwszą, sążnistą pigułkę, niezwłocznie zapytał:

- O której górze mówicie, otcze? Czy o tej, która ciągnie się aż za wolicckie wertepy?

- Nie, nie, mam na uwadze tę po drugiej stronie - rzekł ksiądz paroch. Niegdyś należała do jej dziada, który przed laty z nabożności uczynił z niej zapis na cerkiew. Jest tego niemały kawał ziemi, o ile pamiętam, będzie około dziesięciu morgów - dodał.

Ostatnim zdaniem parocha Semeniuk zachłysnął się na dobre. Okazując swe zadowolenie, począł z nabożną czcią całować wypielęgowane ręce dostojnego księdza.

- Faurona, dziewczyna, jakich mało, umie pisać i czytać, a to się liczy - ciągnął paroch, zważ, wiele masz takich w Sadach. Nie pomyśl się, jeśli powiem, że drugiej takiej nie ma. Urodą i inteligencją przewyższa tamtą, ale od ciebie Wasylu będzie jednak wiele zależało.

Semeniuk obruszył się i skwapliwie dodał:

- Tak otcze, ale ten łobuz zamierza już dzisiaj wieczorem przyjść, jak powiedziałem, z modlitwami na zapowiedzi.

Paroch, wetknąwszy dwa palce w pentelkę czarnej kamizelki, chodząc po pokoju, medytował. Nagle wlepił oczy w brodę Wasyla i odrzekł:

- Dobrze, niech przyjdą na pacierze. Nie wzbraniaj. Dam ja mu pacierze, że mu ochota minie do żeniaczki i dodał na odchodne:

- Na dzisiaj tyle, jutro Fauronę tu przyslij, trzeba kuć żelazo, póki gorące.

Semeniuk, kłaniając się w pas, ledwie że z ukontentowania dobył ze siebie głosu, by na pożegnanie powiedzieć "harazd" i ruszył z powrotem w Sady. Zdawało mu się, że nogi lżej go niosły. Przed cmentarzem, poprawiając czapkę, stuknął się wczoło, mówiąc półgłosem: - Takim stary, a taki głupi, przecież mogłem się z nim potargować o tę drugą górę. Wprawdzie mniej urodzajna, ale za to piaski.

Idąc przeliczał, wiele by było dziennego utargu za białe piaski, sprzedając budującym domy i wiele za nie kupiłby nowych morgów ziemi. Na razie doliczał do swego gospodarstwa dziesiątkę morgów, które zacny paroch zamierza darować Fauronie.

- Co za szczęśliwy dzień, co za szczęśliwy dzień - mrucał wchodząc niebawem na własne podwórko.

Anastazja mile zdziwiona nastrojem Wasyla domyślała się przydarzenia nie lada gradki, bowiem od lat nie widziała go z tak wesołą miną.

- Chcę porozmawiać z Fauroną - zagaił.

- Jest w stodole, na sieczkę szykuje - odpowiedziała Anastazja.

- Zawołaj, niech przyjdzie do izby - przykazał.

Niebawem najmitka, mnąc palcami przybrudzoną, kwiecistą sukienkę, stanęła przed gospodarzem.

- Jutro ubierzesz święteczne łaszki i pójdziesz na plebanię, ksiądz paroch chce cię widzieć - powiedział.

- Jak każecie, to i pójde - odrzekła uległym głosem, biegnąc z powrotem do stodoły pomagać Maksymowi sieczkarnią szykować dla koni i bydła paszę.

- Gdzie miałem oczy, gdzie? - pomyślał Wasyl, patrząc za znikającą w stodole dziewczyną. Toć to królewna. To piękność urodzona, gdzie tej dziadówce do niej, gdzie.

Poranne kłopoty sprawiły, że tego dnia wyjechano w pole dość późno, a tuż przed zachodem słońca Janek, wymykając się do domu, w oznaczonym czasie stanął u Michalskiej, skąd z Janką i dwoma starostami udał się na plebanię z zapowiednimi pacierzami. Ksiądz paroch jakby ich oczekiwał, stojąc za dębowym stołem z wyszukany szacunkiem wskazał im krzesła i zapytał:

- Przyszliście na pacierze?

- Tak, na pacierze proszę ojca duchownego - odrzekł Zełenyj, jeden ze starostów. - Ukażcie, otcze, młodemu odrobinę łaski, przygotowując ich zapowiedzi - dodał.

- Jeśli oni mają się ku sobie, patrząc na Jankę i młodego Semeniuka, paroch odrzekł: - Niech się dzieje wola nieba, przeciw której występować byłoby grzechem, zbliżcie się zatem do stołu - dodał.

Młodzi, stanąwszy przed księdzem z nieznanym im dotąd lękiem, oczekiwali łaskawego słowa duchownego władcy, który rozsiadłszy się, przez dłuższą chwilę przypatrywał im się obojgu, jakby chciał wyczytać ich przyszłość związaną z dzisiejszym dniem, po czym otwierając grubą, szarą księgę, zapytał:

- A czy Semeniuk, mój druh, wie o waszym poczynaniu? Jeśli nie wie, to z czym przychodzicie? Z błogosławieństwem czy z klątwą rodziców?

Starostowie, widząc przewrotność parocha, stanęli w obronie

młodych, stwierdzając, że Semeniukowie, jak i Michalska, wyrazili swą wolę, zezwalając im zanieść na zapowiedzi.

- Młodzi mają się ku sobie i pragną po chrześcijańsku, jak i ich ojcowie, dopełnić tego obrządku. Pomóżcie, otcze, aby się nie stało, żeście odmówili, podając za przyczynę fanaberie Wasyla - dodał Zelenyj.

Paroch z opuszczonym wzrokiem ku ziemi, szepcząc z cicha niezrozumiałe słowa, nagle zapytał Jankę i Semeniuka:

- Chcecie się pobrać?

- Dlatego, otcze, tu jesteśmy - odrzekł Janek.

W kilka minut potem, przy rześmym świetle elektrycznym, dokonał się pierwszy akt przedślubnej ceremonii.

- Dobry początek za nami - wychodząc z plebanii rzekł Ludzina, drugi starosta zapowiedzi.

- Dziwny nasz pop. Mówią, że lepiej by mu było być wojakiem, a nie księdzem i w samej rzeczy prawda, dzisiaj przypatrzyłem się jego ruchom i słowom, pasowałby na wojaka, jak ułat - dodał Ludzina.

Józefowa, wedle zwyczaju, oczekiwała młodych i gości przed bramą. Z chwilą przybycia ich pod dom, nabożnie czyniąc nad nimi znak krzyża, wprowadziła do izby, gdzie przy świetle naftowej lampy do późnej nocy gwarzono, doprawiając mowę siwuchą i czosnkowanym studentem.

O tym czasie stary Semeniuk, zaferowany piaskową górą, nie kładł się do snu. Siedząc na przyzbie, rozmyślał, co przyniesie jutrzejszy dzień.

W umówionym czasie Faurona, posłuszna rozkazaniom gospodarza, uczyniwszy kilka krótkich, kosmetycznych zabiegów, wyszła z obejścia, udając się przez pełne ptasiego gwaru "ścianki" na spotkanie z władcą cerkiewnych dusz.

Wasyl, patrząc za nią, pokraśniał.

- Śpiesz się, śpiesz i kłaniaj się parochowi - pomyślał - mając na uwadze wolicką górę.

Na gospodarczym dziedzińcu plebanii najmici czynili skwapliwie ostatnie przygotowania do któregoś z rzędu żniwnego dnia, gdy pod drzwiami głównego korytarza stanęła Faurona.

Przez chwilę, wsłuchując się w muzykę budzącego się dnia, a szczególnie w szmer kos zawijanych w kosmyki słomy oraz świergot ptaków ulatujących z pobliskich kasztanów - myślała - wejść czy nie wejść. Postanowiła to pierwsze. Czubkiem bucika stuknęła w futrynę, popychając do przodu z lekka skrzypiący od starości próg. Odgarnęła spadające na czoło kręcące się loki, gdy od wewnątrz zgrzytnęły żelazne zasuwki.

W korytarzu ukazała się Marijka. Poinformowana przez parocha niezwłocznie wprowadziła Fauronę na pokoje plebanii. Tu oczekiwał ją ksiądz paroch.

- Sława Bohu, wzywajście mnie, otcze - zagaiła.

- Sława na wikie - a tak, prositem Wasyla, by mi cię przysłał - odrzekł - podejdź bliżej, niech cię oglądnę - dodał.

Faurona, znając księdza maniery, z wielkim namaszczeniem ucałowała jego obydwie dłonie, po czym skłoniwszy się w pas, wycofała się pod próg, stając na plecionkę z zielonej, morskiej trawy.

- Słuchaj, dziewczyno - zaczął od nowa paroch - niedawno temu byłaś na służbie u Humeniuków, wiem, że ci tam dobrze nie było. Dałem cię przeto do Semeniuków - ludzi statecznych i bogobojnych.

- Jakże ci tam u nich? - zapytał - uporczywie patrząc w jej twarz.

Faurona, przybierając kolor purpury, zapłakała.

- Rozumiem, rozumiem, mruknął paroch. Nie oswoiłaś się jeszcze z nowym domem. Wiedz o tym, że czynimy starania, by ci tam było dobrze i żebyś została u nich na zawsze.

Faurona drgnęła, patrząc w tym momencie w jego oczy, szukała wyrazu wiary. Onieśmiewiona słowami czcigodnego ojca, skłoniwszy się po raz drugi, poczęła całować jego pulchne ręce.

- Sierota jesteś i majątku nie masz - ciągnął - za to Najwyższy nie poskąpił ci rozumu i urody. Liczysz sobie już dwudziesty rok. Trzeba ci wyjść za mąż.

Ostatnie zdanie dziwnie tknęło Fauronę, toteż opuściwszy głowę, zapytała: - Za kogo, otcze?

Paroch sposępniał, wnet jednak rozchmurzywszy wielkopańskie oblicze, powiedział:

- Pchnąłem cię do Semeniuków, abyś się tam rozejrzała. A jest tam co oglądać. Zabudowania niezgorsze i pola nieskapo, do tego syn mądry, robotny i urodny. Wiem, hołubko, co myślisz w tej chwili - myślisz, że kpiny urządzam z ciebie, że plotę trzy po trzy - niebawem, jeśli mnie posłuchasz, uwierzysz w to, co mówiłem. Wiem, że młody Semeniuk przejściowo zadurzył się w Michalskiej dziewczynie. Powiem więcej, okazując im dobrą wolę, wczoraj przyjąłem od nich pacierze przedzapowiednie. Staremu Semeniukowi zabroniłem przeszkadzać w kójarzeniu się tego związku. Młody niebawem sam się opamięta, myślę, że jeszcze zanim wyjdą ostatnie zapowiedzi. Twoja rola w tej mierze będzie największa. Musisz wiele uczynić, by zapobiec złemu, które wkrada się w dom Semeniuków.

- Nie, otcze, nie mogę - rzekła Faurona. Jestem przybłądą,



poszturchowiskiem ludzi, w ich oczach zawsze będę najmitką. On jest bogaty i piękny. Ponadto miluje tamtą. Nie jestem godna nawet myśleć o tym, ażeby Najwyższy nie zesłał jakiej kary - dodała ze łzami w oczach.

- Uspokój się, detyno. Jesteś dziewczyną jak i inne. Mimo młodych lat doświadczyłaś już wiele krzywd i cierpień. Pomyśl, może to dzień nagrody się zbliża. Parę dni temu stary Semeniuk zalił się u mnie, że Janek, wbrew jego woli, zadaje się z Michalskiej dziewczyną. Trudno mi było radzić, nie znając głębiej intencji. Gdy je wyluszczył, przyznałem mu rację. Nie przypadkiem więc znalazłaś u Semeniuków nowe miejsce - kłamał. - Rzecz najważniejsza - ciągnął - będzie zjednać sobie młodego Semeniuka do tego stopnia, by o tamtej zapomniał. Oto twoja rola. Pomyślałem i o drugiej stronie, a mianowicie: - abyś się stała ważniejsza od tamtej, postanowiłem obdarować cię wolicką górą. Niezły to kawał ziemi. Jest tego około dziesięć morgów. Robię to dla Wasyla, gdyż nie raz i nie dwa wyciągnął mnie z opresji w czasie wojny, walcząc o jedną sprawę na wielu frontach. Nie mogę mu tego puścić w niepamięć. - Oto wszystko, co chciałem powiedzieć - rzekł na zakończenie paroch.

- Jeśli trzeba, poświęcę się, otcze, postaram się, żebyście byli zadowoleni ku chwale Bożej - odrzekła Faurona - całując na odchodne ręce dostojnego księdza. Gładząc przy tym spadające loki, opuściła komnatę. Wycierając gałgankiem zapłakane oczy, śpieszyła w kierunku Sadów.

- Jakże to będzie? - myślała.

Kielkowała w niej nadzieja radości i szczęścia. Zdawało się, że jest ono tuż, tuż, w chwilę potem wiedziała, że to szczęście jest odleglejsze od prognoz parocha. Minąwszy Sabalowicza dworek, skręciła w potoki, by, jak jej się zdawało, ukryć się na chwilę przed wzrokiem ciekawskich. Wchodząc na podwórko Semeniuków, dostrzegła gospodarza, który, jak nigdy przedtem, obdarzywszy ją łaskawym wzrokiem, powiedział: - Dobrze, że wróciłaś, posil się, po czym z Jankiem do siana pojedziesz.

- Zaczęło się - szepnęła Faurona. Niebawem siedząc obok Janka na drabiniastym wozie, zapytała z ciekawości, co się stało, że Maksym zamiast jechać do siana pozostał w domu.

- Nie został w domu, on odszedł - odrzekł Janek.

- Odszedł...dlaczego tak nagle? - zapytała ponownie.

- Nie wiem dlaczego, wiem natomiast, że razem z zachodem słońca, zabrawszy ze stajni do worka swój dobytek, dziękując grzecznie za służbę, odszedł.

- Myślałam, że tu zostanie, że się zżyje z Sadami - patrząc w szerokie plecy młodego Semeniuka odparła najmitka.

- Z Sadami to on się zżył na pewno, trudno mu natomiast zżyć się z Semeniukami, a szczególnie z ojcem - odrzekł obejmując Fauronę miłym spojrzeniem.

Tego dnia, zgodnie z zaleceniem gospodarza, zwożono siano, układając na strych do późnego wieczora. Około północy po wieczerzy i umyciu "stałków" Wasyl, zwróciwszy oczy ku najmitce, rzekł rozkazująco:

- Dzisiaj śpisz w sianie na strychu. Faurona, posłuszna woli gospodarza, prawie bezwiednie weszła pod blaszany dach, gdzie przed małą chwilą ułożył się również do snu młody Semeniuk. Kładąc się tuż przy włazie, przez dwa dobre pacierze oczekiwała najgorszego, a że nic nie maciło błogiej ciszy, zasnęła twardym, młodzieńczym snem.

## ROZDZIAŁ VII

**N**areszcie idzie - szepnął Smolski, urzędnik tajnej policji, gdy od strony Karmelickiego kościoła nadchodził interesujący go osobnik. Podszedł do szafy, naciskając w niej czarny punkcik znajdujący się z prawej strony dużej szuflady, po cichym zgrzytnięciu mechanizmów szybkim ruchem wyjął znacząco grubą księgę, stawiając ją na stoliku obok gęsto okratowanego okna.

Tymczasem zapukano do drzwi. Smolski, chwytając ze stołu rulon poślizgniętych papierów, szedł otworzyć. Za ledwie uczynił dwa kroki po pokoju, gdy pchnięte od zewnątrz metalowe rygle prawie bezszelestnie pozwoliły przybyłemu osobnikowi znaleźć się wewnątrz tajnej kancelarii.

- Udało się, co? - zapytał Smolski mężczyznę sięgającego półki nad drzwiami. Tam też przybyły osobnik położył swój postarzały, szary kaszkiet.

Obejmując błyskawicznie wzrokiem dość przestronny pokój, wyrzekł łamaną polszczyzną:

- Że też akuratnie na budnym dniu choiło się panu mówić ze mną. Wie pan, że mój gospodarz, gdyby mógł, wygnałby ze mnie ostatni duch - ino robota i robota - dodał.

- Dzisiaj nie zabiorę wam dużo czasu - rzekł Smolski. Pamiętam jednak o waszym przyrzeczeniu. Naturalnie pamiętam i o swoim. Przyrzekłem, że wasze sprawy nie ujrzą dziennego światła, jeśli od czasu do czasu tu w czterech ścianach, gdzie nikt nas nie widzi i nie słyszy, porozmawiamy o Szarym, a mianowicie, gdzie przebywa i z kim przestaje.

- Czy wczoraj był? - zapytał, patrząc w bystre oczy najmita.

- Był, ale krótko, a na odchodnym powiedział, że jego wizyta jest ostatnią, wówczas nachylił się i coś szeptał nad uchem gospodarza, ten zaś zatoczywszy ręką duże koło, powiedział: - "Prędzej świat się przewróci, niżeli znajdą księgę".

- Tak powiedział? - zapytał Smolski.

- Kropka w kropkę, że tak powiedział - odrzekł Pelechaty, gdyż takie miał nazwisko przybyły osobnik.

- Hm, dziwne, że tak to sobie wyobraża Szary - rzekł Smolski jakby sam do siebie, po czym klepiąc Pelechatego po plecach, dodał: - Cóż, na dzisiaj tyle. Widzicie, że dużo od was nie żądam. Aha, byłbym

zapomniał, powiedzieliście, że gospodarz wspomniał o księdze; gdyby przypadkowo kiedyś natknęliście się na nią, dajcie znać, kupię ją od was, dobrze zapłacę, zarobicie na nowe ubranie i buty.

- Postaram się - chyłąc głowę na do widzenia - odrzekł Pelechaty, kierując się długim krokiem nad rzekę, gdzie za chwilę zniknął w przydrożnych szuwarach, rosnących wzdłuż starych, pochylonych nad wodą wierzb.

Smólski, odprowadziwszy go oczami do ostatniego zakrętu Gniezny, szepnął:

- Psia służba, kto by pomyślał, że czarna księga jednak istnieje.

Sprawdził zamknięcia szaf i szuflad, wepchnął do teczki podniszczony notatnik, pociągając za sobą samoczynnie zamykające się drzwi i śladem Pelechatego udał się nad rzekę.

Szedł wsłuchując się w plusk wody, rozbijającej się o przybrzeżne, wystające korzenie drzew i w rechot żab cieszących się pogodnym dniem. Dotarwszy do wodospadu, przysiadł na brzegu spienionej wody, tworzącej srebrzyste koła, które znikają niebawem w pobliskich szuwarach.

Rzucając okiem na tytuły ostatniego numeru gazety, nagle zawołał półgłosem:

- Przecież to oni!

Poruszony jakby nowym odkryciem "Tajnego Dedektywa" przez dłuższą chwilę błądził wzrokiem po szerokich płatach lilii wodnych i przybrzeżnym kwieciu, tracąc rachubę czasu. Ocknął się spojrzawszy na chmurzące się niebo i ruszył na wzgórek, skąd jak okiem sięgnąć widniały pola zbóż. Nasyciwszy się ich widokiem, zawrócił ku miastu. W miarę zbliżania się do celu przyśpieszał, pragnął czym prędzej znaleźć się w biurze.

Na Plantach mignął przed nim, jak mu się wydawało, cień poszukiwanego złoczyńcy. Na chwilę ukazał się jeszcze przed rzeźnią, po czym zniknął w zakamarkach tej przestrzennej budowli. Chcąc się upewnić, czy się nie myli, Smólski przyśpieszył kroku. Miał nadzieję, że spotka tamtego przy następnej bramie otulonej krzakami dzikiego bzu, zamykającej wyjście na plac targowy. Znalazłszy się przy parkanie, porzucił przedsięwzięty zamiar, zrozumiał, że podejrzany osobnik, wchodząc w podwórko rzeźni, mógł znajdującą się tam fosą iść w dwóch kierunkach, a to: na zachód wprost do zagajnika za miastem lub na południowy wschód do rzeki. Wybierając jeden z pewniejszych, Smólski ruszył w kierunku zagajnika. Znalazłszy się na zielenieckiej szosie, począł obserwować ścieżki prowadzące na prawo w Krowinieckie lasy

oraz drózkę biegnącą pod wzgórek. Nie dostrzegłszy niczego, postanowił wracać do biura.

Tymczasem zapowiadająca się deszczowa pogoda przybliżała się w szybkim tempie. Na zachodniej części nieba wyrastał nagle zwal szarych chmur przeplatanych zygzakami błyskawic poprzedzających głuche echa gromów. Spokojny dotąd wiatr począł się wzmagać, niosąc ze sobą pierwsze, grube krople deszczu, po czym burzę.

Na wskroś przemoknięty niebawem znalazł się nie w biurze, jak zamierował, a w swoim domu położonym tuż przed cmentarzem, przy ulicy Łoszniowskiej. Za ledwie zdążył przebrać się w suche odzienie, gdy do mieszkania wsunął się czarnowłosy młodzieniec, pełniący w komisariacie policji funkcję gońca, oznajmiając Smólskiemu, że jest wezwany przez komisarza policji do niezwłocznego stawienia się w biurze.

- Proszę zameldować panu komisarzowi, że za małą chwilę tam będę - rzekł Smólski, otwierając drzwi wybiegającemu na zewnątrz gońcowi.

Na dworze przestało padać. Burza przeniosła się na wschód, aktualnie zalegając tereny Dębiny aż po Iwanowskie pola, sięgając granicznego Skalata.

- Psia służba - mruknął - wkładając do torby służbowej niezbędne przybory.

Sprawdziwszy okiennice i drzwiowe zamknięcia, wyszedł przed dom. Nie uszedł pięciu kroków, gdy nagle w oczach zabłysło mu tysiące czerwonych iskier. Poczawszy słodkawy smak, jak długi runął na ziemię.

Ocknął się późną nocą w cmentarnych krzakach. Przy świetle zachodzącego księżycy, rozpoznając nagrobki i większość drzew, zrozumiał, że żyje. Chciał dźwignąć głowę, by rozejrzeć się wokół, niestety ból w okolicach potylicy na ten wyczyn nie pozwolił.

Nie mógł zrozumieć, komu uczynił coś złego, że go chciano uśmiercić, zaciągając od razu na cmentarz. Zamierował wołać pomocy, lecz myśl była szybsza i nie pozwoliła na ten gest - podszeptując, że nieprzyjaciel może być tuż, tuż. Toteż z czasem, zbierając siły, przewracając się na brzuch, począł z początku nieudolnie, z wielkim bólem, później wzmocniony nadzieją czółgać się pomiędzy grobami w kierunku Łoszniowskiej drogi.

Niebawem, jak nigdy przedtem, ogamał go zabobonny lęk. Przed nim przesunęła się plejada dawno zmarłych bliskich i dalszych znajomych ludzi. Otrząsając się z widziadeł, jednocześnie docierał do celu, wsłuchując się w każdy szmer. Znalazłszy się przy drewnianym słupie,

przytrzymującym elektryczną lampkę, stosując jak największą ostrożność, postanowił odpocząć.

Wokół panowała cisza, jedynie mąciło ją gdzieś w oddali głuche stapanie ludzkich nóg obutych w podkute obcasy lub pisk porannych sów. Doskwierał mu ogromny ból głowy, ponadto odczuwał przejmujący chłód. Marzył o domu i łóżku. Jeszcze kilka nad wyraz wyczerpujących ruchów sprawiło, że prześliznął się przez ulicę, pukając delikatnie do drzwi własnego domu. Niestety, nikt mu nie otworzył. Tracąc ponownie siły, padł twarzą na biały piasek umyty nocą deszczową wodą.

Znaleziono go rankiem i odwieziono do szpitala w Tarnopolu. Znamiennym było, że doszedłszy do pierwszej siły, po raz któryś odczytywał list skierowany na jego ręce:

"Szkoda, że Cię nie ukatrupiliśmy - zrobimy to przy pierwszej okazji - chyba że zrezygnujesz z tej służby. Dwinok"

Idąc za głosem rozsądku, niebawem rozstał się na zawsze ze służbą w tajnej policji.

## ROZDZIAŁ VIII

Nazajutrz skoro świt Wasyl, zacierając uciesznie ręce, przeżegnawszy się, począł ostrożnie, po trzeszczących szczeblach drabiny wchodzić na strych. Zatrzymując się przy włazie, szukał oczami śpiących jeszcze domowników. Tuż obok pierwszych krokwi, lśniącego nagim ciałem, spała Faurona, obok leżał rozkosznie wyciągnięty kot Pstrokuś, nie było natomiast w pobliżu Janka.

Nie namyślając się dłużej, wrzasnął:

- Ejże! Wstawajcie! Słońce nad czeremchą!

Pierwszy niczym z procy wyskoczył Pstrokuś, po czym najmitka przecierając oczy stanęła na nogi. Po chwili upstrzony strzępami siana szedł młody Semeniuk.

Po dokonaniu przy inwentarzu porannych obrządków i zjedzeniu śniadania wyruszono w pole.

Wasyl, powodząc końmi, myślami znajdował się obok wolickiej góry. Marząc o darowiźnie parocha, przeżywał tajemną moc ludzkiego szczęścia.

Janek tymczasem wpatrzony w wierzchołki wysokich drzew, znajdował siebie nad brzegiem wysokiej ścianki, przylegającej do Michalskich obejścia.

Najmitka natomiast, wymachując nogami między szczeblami drabiny wozu, myślała o Maksymie. Nie mogła pojąć, co tak nagle zmusiło go do porzucenia służby. Nigdy przedtem nie skarżył się na złe traktowanie przez gospodarza, jak i przez pozostałych domowników.

- "Ponadto, jeśli zrodził się w nim zamiysł odejścia, czemu nie podzielił się z tym zamiarem przynajmniej ze mną" - myślała. Chcąc nie chcąc zaczęła w pamięci wyliczać jego fizyczne zdolności, nie pomijając wysokiego wzrostu, siły, muskularnych rąk i nóg, zadartego nieco nosa, uśmiechniętych ust i czamej, rozsypującej się czupryny. Wiedziała, że lubił samotność, widocznie i duszę miał skrytą.

Dzień ten dla Semeniuków i służby był jak wszystkie inne - pełen znoju, a jednak inny. Odczuł to Wasyl, bowiem nie ujrzał tego, co chciał zobaczyć rankiem na strychu; odczuła Faurona - tknięta nagłym odejściem Maksyma; nie mniej nieswojo czuł się Janek, dowiedziawszy się, że noc ostatnią spędził na sianie z Fauroną, a ojciec to sprawił - słowem nie w smak było całemu domowi. Pracowano, jak zwykle, do późnego wieczora.

Powieczery Janek, klepnąwszy Burka po karku, przeskoczył płot oddzielający obejście od ogrodu i sadu, pośpieszył nad "ścianki".

Widząc to, Wasyl zgrzytnął zębami. Faurona natomiast, dokonując obrządków, patrzyła ukradkiem za odchodzącym, wiedziała bowiem, gdzie się udał.

Noc była spokojna. Semeniukowie, jak małe kiedyś, spali do białego dnia. Obudziło ich porykiwanie bydła. Pierwszy zerwał się Wasyl, później Anastazja biegła do komory budzić najmitkę, wróciwszy od Michalskich, zjawił się Janek. Faurona, zrywając się z twardego łóża, wolniej jak zawsze ubierała porozrzucone łaszki. Patrząc od czasu do czasu przez wydrążoną w ścianie dziurę zastępującą okno, widziała uwijającego się z miernicą Wasyla, roznoszącego bydło i koniom poranną karmę.

- Biedny on - szepnęła - stokroć biedniejszy ode mnie.

Zastanawiając się przez chwilę nad sobą, a szczególnie nad wynagrodzeniem za pracę, z którym Semeniuk jakoś zalegał - postanowiła odejść.

Wasyl tymczasem, oporządziwszy inwentarz, nie mówiąc nic nikomu, udał się na plebanię.

- Zrobiłem, co mi pop przykazał - szeptał - idąc wzdłuż drogi. Zobaczę, co zarządził z zapisem wolickiej góry. Im prędzej, tym lepiej, z panami nigdy nic nie wiadomo, co im jutro myśl przyniesie. Muszę go dzisiaj przynaglić - powiem odważnie, by obiecaną górę zamiast na Fauronę przepisał na mnie, zawsze to u mnie pewniejsze gospodarowanie, bo i konie i narzędzia mam ku temu. Tak medytując stanął przed budynkiem plebanii.

- Ej, hołubko - zawołał na najmitkę - czy ksiądz dobrodziej jest u siebie?

- A jest, modlitwy odmawia - odrzekła Marijka.

Semeniuk, poprawiwszy rozczochraną czuprynę, zapukał do drzwi komnaty, nasłuchując jednocześnie głosu parocha, a gdy z wnętrza duchowny pasterz przyzwolił na wejście, Wasyl, nie zwlekając, ruchem młodzieńca, stanął przed księdzem.

- Co cię przypędziło? - zapytał nieco zatrwożony paroch.

Semeniuk rozglądając się wokół, jakby bał się uronić jakiejś tajemnicy, którą przyniósł ze sobą, wybałuszył oczy i wreszcie wycedził smętnym głosem:

- Kłopot mam, otcze, najmit odszedł. W głowie mu się pokręciło. Zabrał manatki i nawet nie powiedział "do widzenia" na odchodne - uciekł niczem złodziej. Za to w przeddzień takie kazanie mi sprawił, że lepiej tu w świętym miejscu nie powtarzać. Kto to kiedy słyszał, żeby w środku

żniw opuszczać służbę, czy nie mógł odejść, jeśli tak chciał, na przykład po kopaniu ziemniaków. Dobrze, że za służbę grosza nie dałem, bo i za co? Faurona to co innego. Od razu poznałem, że jest inna, skromna i bogobojna. Przedwczoraj wieczorem przykazałem jej nocować na strychu w sianie, gdzie czasem mój chłopak nocuje - myślicie, otcze, że nie poszła? Poszła, jak mi Bóg miły, że poszła.

- Powiadasz, że była z nim na strychu przez całą noc? - przerywając wywody Wasyla - zapytał paroch.

- Z całą pewnością, otcze - weszła tam - widziałem na własne oczy.

- Hm, jeśli tak Wasylu, to wkrótce będziesz bawił wnuki - zacierając ręce - odparł paroch. Trzeba zapowiedzi przerwać, bowiem wkradła się przeszkoda, załatwisz to jednak Wasylu sam - dodał ksiądz Martyluk. Należy Michalskiej powiedzieć, coś widział, sprawę przedstawić tak, by uwierzyła. Okażesz wielki żal. Nie wspominaj o majątku, którym zamierzam obdarować Fauronę, mogłoby to popsuć sprawę - ciągnął duchowny pułkowiec.

- Proszę otca, czy Fauronę przysłać na plebanię? - zapytał rozpromieniony Wasyl.

- Przyślij któregoś dnia. Rozpytam ją co i jak. Sprytna dziewczucha, wnet się sprawiła ani się spodziewałem, że jej tak łatwo pójdzie. Wkrótce Wasylu będziesz zbierał owoce, a ja będę je chrzczył - odparł paroch.

Semeniuk oczekiwał czegoś więcej. Chciał usłyszeć z ust dobrodzieja chociażby jedno słowo o zapisie wolickiej góry.

- Czy coś cię jeszcze trapi? - zapytał paroch - widząc, że tamten ociąga się z odejściem.

Wasyl, jakby nagle obudzony ze snu, przecierając oczy, bez ceremonialnego wstępu powiedział:

- Otcze, tyle w życiu doznałem od was dobrego, czy nie dałoby się przyspieszyć zapisu wolickiej góry - budziłoby to lepszą chęć Faurony do naszej rodziny.

- Słowo się rzekło, ale bez pośpiechu - odrzekł paroch, podając rękę na pożegnanie. - Idź z Bogiem i bądź dobrej myśli - dodał.

Wasyl, zgodnie z powziętym planem, wracając z plebanii, wstąpił do Michalskich. Nie czekając na tradycyjne, gościnne zaproszenie, rzekł wyrafinowanym głosem:

- Chciałbym, Michalska, porozmawiać na osobności, to długo nie potrwa - dodał oglądając wnętrze izby i alkierza.

Poczuł się nieswojo, ogarnął go jakby kompleks niższości. Czuł, że za chwilę zostanie wytracony z równowagi, w ślad za czym przepadną

marzenia, których nie chciałby się wyrzec nawet kosztem zdrowia, a może i życia. Widząc tu ład i porządek, popadł w nie dający się ukryć zachwyty.

- Proszę - rzekła Józefowa, zastanawiając się, co do niej sprowadza o tak wczesnej porze przyszłego swata.

Semeniuk, zebrawszy ostatek sił, prawie szeptem rozpoczął:

- Przykro mi, że akurat w tej sprawie przychodzę do was. Niestety występujące po sobie wydarzenia zmusiły mnie do tego spotkania. Biłem się z myślami przez długie godziny, co robić - zwyciężyło sumienie. Jak i wy, jestem gorliwym katolikiem i to mnie zmusza, by nie tać przed wami pewnych szczegółów. Mimo że syn mój nie pytał mnie o zgodę na żeniączkę z waszą dziewczyną, pogodziłem się z tym - i oboje z żoną myśleliśmy poważnie o weselu. Cóż, kiedy fajdak, nicpoń nie umie uszanować siebie ani osoby, którą zamierza poślubić. Pomyślcie, że ten hycel przedwczorajszą noc spędził z najmitką w sianie na strychu. Na własne oczy widziałem ich rankiem schodzących z poddasza. Nie wiem, kogo winić, najmitkę czy jego. Wiem, że stało się nieszczęście, a moim obowiązkiem było powiadomić was o tym. Tym bardziej, że idą zapowiedzi.

Michalska, znając przewrotność Semeniuka, wiadomość tę puściła mimo uszu - z uwagi na szlachetność serca nie wskazała mu drzwi. Opuściwszy głowę rzekła:

- Cóż, my też byliśmy młodzi, a młodość nie zawsze chodzi w parze z mądrością. Nie moja rzecz przeszkadzać młodym. Żartu usłyszanego z waszych ust nie powtórzę nikomu, zatem plotek nie będzie. Semeniuk nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przybrawszy postawę stroskanego ojca, powiedział drżącym głosem:

- Zrobiłem, co do mnie należało, resztę wam pozostawiam, śpieszę, bo robota w polu. Nacisnął na głowę wymięty kaszkiet, mruknął coś niezrozumiałego i prawie siny ze złości opuścił zniechęcony dom.

Mimo że słowa Semeniuka na Michalskiej nie wywarły większego wrażenia, jednakże w głębi duszy wkradła się cząstka zjadliwej trucizny. Tego dnia, unikając ludzi, wcześniej jak zwykle, udała się na własny zagon położony obok karmelickiego lasu. Późnym wieczorem, wróciwszy z pracy, zastała w izbie młodego Semeniuka zabawiającego się z jej młodszym rodzeństwem. Wpatrując się chwilę w jego twarz stwierdziła, że opowieść Wasyla była wierutnym kłamstwem.

- Dziwny sen miałam ubiegłej nocy - rzekła na powitanie.

- Jeśli dobry, materno, niechby się sprawdził, jeśli zły, niech idzie w zapomnienie - odrzekł Janek, patrząc w oczy Michalskiej, które jak mu się wydawało, dzisiaj były mniej łagodne jak zwykle.

## ROZDZIAŁ IX

**J**uż od świtu w pierwszą sierpniową niedzielę u Michalskich grała boryczowska kapela. Głos skrzypiec i cymbałów dzielony miarowym taktem bębna oraz złocistych blach odbijał się echem o pobliskie okryte rosą "ścianki".

Chcąc więcej i szybciej dojrzeć weselną uroczystość, na przydrożnych, brzozowych opłotkach zawisło dziesiątki przedstawicieli tutejszej młodzieży.

Ulica wystrojona w różnobarwne girlandy zaroila się niebawem weselnymi gośćmi, których z osobna witała dzisiejsza kapela, grając tradycyjnego marsza. Co bogatszych i bliższych gości witali druźbowie i drużny, dekorując ich piersi biało-czerwonymi wstążeczkami spiętymi zielonym mirtem. Wokół obejścia poczęła się rozchodzić lechcząca woń studeńca i beczkowego piwa.

Przed ślubną ceremonią, ubierając w odświętne szaty pannę młodą, przy licznych śpiewie "swach" - spożywano właśnie małe śniadanie składające się z "kurowaja", studeńca i beczkowego piwa. Siwuchę przeznaczono na czas poślubny.

Okolo południa ruszył w kierunku miasta weselny korowód. Na pierwszym umajonym gałązkami zieleni wozie wśród druhen jechała panna młoda, na drugim równie umajonym, wśród druźbów jechał pan młody. Za nim jechała reszta gości oprócz swach i kobiet obsługujących kuchnię i stoły.

Wśród korowodu nie było Anastazji i Wasyla Semeniuków - Wasyl kategorycznie zabronił Anastazji uczestnictwa w uroczystości, chociażby nawet w kościele czy cerkwi. Toteż Semeniukowa, znając czas przedślubnego korowodu, oczekiwała go w pobliskim sadzie położonym przy głównym trakcie drogi. Kiedy wóz z panem młodym jadąc zrównał się z miejscem ukrycia Semeniukowej - wyciągnęła ku niemu rękę, błogosławiąc mu na nową drogę. Przejęta splotem trudnych i nieudanych spraw, odczuła nagle dziwną niemoc, trwającą w niej tego dnia prawie do wieczornego chłodu, co dopiero pozwoliło jej wrócić do domu.

Podobnie odbywała się ceremonia poślubna - korowód wozów pełen śpiewu podążał ulicami Sadów do weselnego domu.

Kiedy pan młody przez próg do mieszkania przeniósł zaślubioną

wybranekę, rozpoczęła się uroczysta biesiada. Wodzirejem tradycyjnie został starszy družba. Pilnowano, by goście jedli i pili, a dla wesołości śpiewali. Swachy, chodząc z kwadratowym kielichem babskiej gorzałki (wiśniak swojej roboty), obok stołów służyły pomocą w odszukiwaniu w pamięci coraz to nowych pieśni. Dla kapeli dopiero teraz rozpoczęła się praca, bowiem bez odpoczynku odgrywano wiwatowe życzenia oraz swachom odpowiedzi w śpiewaniu, ponadto co młodszy goście, posiliwszy się bogatym jadem i piciem, co rusz prosili o taniec.

Pod wieczór tańczono w izbie weselnej i na podwórzu wprzód uprzątniętym z naleciałości kłosów słomy i liści drzew. Bawiono się prawie do rana, dopiero ukazanie się panny młodej bez welonu, w zwykłej chusteczce, z wolną ostudzało wesołość biesiadników. Jeszcze kilka poleczek, jeszcze kilka wiwatów przegrała kapela, jeszcze swachy na odchodne życzyły młodożeńcom wszystkiego dobrego, gdy jakby nagle nad Sadami powstawał nowy dzień.

Odmienne tę noc spędzał stary Semeniuk, przy silnym bólu głowy, nie kładąc się do łóżka przesiedział na przyzbie, wpatrując się w gwiazdy i dużą, żółtą tarczę księżycą. Widząc okrutnie zmizerowanego, Anastazja napomniała go, by w najbliższą niedzielę udał się do spowiedzi.

- Po diabła mi spowiedzi - odrzekł urażony Wasyl - nikogo nie zabiłem ani nie okradłem. Z czego mam się spowiadać? - pytał spoglądając na brzosty, których wierzchołki musnęły o pierwsze promienie czerwonego słońca.

- Dnieje - szepnął udając się do izby, a tam do łóżka, zagrzebując się w tegorocznej, żytniej słomie. Niespełna godzinkę potem, obudziwszy się, pobiegł do Dyndałów z nadzieją, że mu w żniwach pomogą. Przed małą chatynką stojącą samotnie w głębi sadu spostrzegł Dyndałową.

- Jak to dobrze, że was spotkałem. Czy mąż w domu? - zapytał.

- Mąż śpi na strychu - odrzekła.

- Co? Śpi? O tej porze? W żniwa? Żartujecie! - zakrzyknął.

- Co z tego, że żniwa - odpowiadała ziewając. Co macie do męża?

- Jeśli trzeba, zawołam.

- Zawołajcie, zawołajcie, byle szybko, bo czas ucieka - gładząc rozwichrzone włosy - popędzał Wasyl.

- Biegnę już biegnę, nie wiem, czy zechce zejść z barłoga, bo to przed południem na ryby się wybiera.

- Aby cię pokręciło z twoimi rybami - zaklął Wasyl spędzając z twarzy i rąk niezliczoną ilość much.

Raptem tuż nad nim rozległ się głuchy rumot. To Dyndała schodząc ze strychu, niezręcznie stąpając na szczebel drabiny i

przełamując go, rymnął jak długi pod nogi Semeniuka. Od sufitu do uklepanej ziemi nie było więcej od dwóch metrów, toteż Dyndała spadając niczym kolek, chwycił się rękoma obłamanej drabiny; dotknąwszy sobą glinianej podłogi, natychmiast stanął na nogi, nie czyniąc sobie żadnej krzywdy.

- Co powiecie, Semeniuk? - uśmiechając się zagaił Dyndała - czego to szanowny gospodarz szuka u mnie o tak wczesnej porze - dodał klepiąc poufale Semeniuka po ramieniu.

- Ej, nie żartujcie, robota mnie do was przygnała, chciałbym, żebyście u mnie wzięli za snop. Zboże mam dorodne, dam za jedenasty - lykając złość - odrzekł Semeniuk.

- Żniwa - powiadacie - teraz, kiedy żyta już zebrane - odparł Dyndała. Nie, nie mogę, robię u Gregorcowicza i nie za jedenasty, ale za dziesiąty. Zresztą jak mogliście przyjść do mnie, kiedy za ubiegły rok nie uregulowaliście za koszenie - dodał. Żal mi was, ale niestety nie możemy. Dzieci wprawdzie mogłyby pójść, ale trzeba naprzód oddać dług za pracę ubiegłoroczną.

Wasyl, patrząc w ziemię, pękał ze złości, że hołysz pozwala dyktować sobie warunki. Medytując chwilę i ustaliwszy, że znajduje się między młotem a kowadłem, rzekł ochryplym ze zdenerwowania głosem:

- Oddam dług i dam za dziesiąty, przychodźcie do roboty.

- Słowo się rzekło, pojedź dziewczyny. Ja z żoną i chłopcem muszę kończyć u Gregorcowiczów. Ach, byłbym zapomniał, zawieźć przywieźć ich musicie - dodał Dyndała.

- Dobrze - odrzekł Semeniuk. Wziął diabeł krowę, niech bierze i cielę - pomyślał w duchu. Splunął siarczyście i ruszył ku domowi.

- Do czego to przyszło do czego, nie ma sprawiedliwości na świecie - myślał.

Anastazja ucieszona załatwieniem sprawy przyspieszyła z obrządkiem gospodarstwa, przygotowując większy jak zwykle połudenek. W niespełna godzinę potem z podwórza Semeniuków drabiniastym wozem wyjechało do żniw pięcioro ludzi. Wprawdzie uciekła już rosa z pola, gdy wzięło się za Wasyla pszenicę, lecz młodzi żeńcy ścigając się w robocie, jakby w marszu zostawiali za sobą równą i czysto wygrabioną po sierpnie ściemnię. Radowała się więc dusza Semeniuka, widząc ciągle przybywające piętnastki, które niczym żołnierzy doborowy stały w szeregu przykryte z osobna snopem z dorodnym kłosem. Wprawdzie nie z radością ale znosił nawet śpiew dziewczyn, byleby iść ze żniwami do przodu.

Po znojnym dniu pracy, zgodnie z umową, przywiózł żniwiarzy do

domu. Uspokojony pomyślnym dniem noc tę przespał w stodole na rozścielonej wiązce słomy. Chociaż nad ranem nawiedził go zły sen, a mianowicie rabusie kradli z pola świeżo zebraną pszenicę, toteż żałując swego mienia, wrzasnął: - Precz stąd, łajdaki!

- Tak to mnie witasz, stary druhu - zawołał w tym czasie wchodzący do stodoly paroch - cóżem ci złego uczynił, że nazywasz mnie łajdakiem - rzekł z widocznym żalem ksiądz Martyluk.

Wasył, obudzony słowami parocha, zerwał się na równe nogi, przypominając sobie jednocześnie miniony, okropny sen.

- Wybaczcie, otcze, akurat kiedyście tu wchodził, śnili mi się rabusie, jakoby mi zboże kradli, więc użyłem paru niedorzecznych słów - tłumaczył się nieborak.

- Uspokój się, rozumiem - odrzekł uspokajająco ksiądz Martyluk.

- Przejdźmy gdzieś w ustronne miejsce, mam do ciebie niedużą sprawę - dodał, pociągając Wasyła w stronę sadu. Oczekiwałem cię wczoraj, czy coś się nowego przydarzyło? - zapytał paroch.

- Zapracowany jestem, o świecie Bożym zapomniałem - usprawiedliwił się Semeniuk.

- Mało to hołoty szuka pracy? - wtrącił się duchowny - Czy tak trudno dobrać sobie silnego i robotnego najmita? Nie dawniej jak wczoraj upraszał się u mnie jeden. Znam go, uczciwy chłopak a silny jak tur. Podeślę ci go, jeśli się zjawi - dodał.

- Taki mi się nie trafia, nie mam szczęścia, byłbym niezmiernie wdzięczny, otcze. Mam cały czas w pamięci Maksyma i Fauronę, zdawało się, że uczciwi, pracowici, nie wymagający w jedzeniu i co zrobili? Jedno po drugim, nie wiadomo czego zadarło ogona i poszło - chyba już nigdy nie uśmiechnie się do mnie prawdziwe szczęście - uskarżał się Wasył.

- Uśmiechnie się, uśmiechnie, w Bogu nadzieja, ale wracając do rzeczy, chciałem cię przy okazji zawiadomić, że w sobotę wieczorem, jak zwykle, na starym miejscu odbędzie się brackie zebranie. Twoja obecność jest obowiązkowa - rzekł paroch, kierując się do wrót - śpieszę się, nie zapomnij, a najmita przy pierwszej okazji przyślę. Pozdrów Anastazję - dodał wsiadając do powozu.

Zawygonem, zobaczywszy młodych Semeniuków idących w pole z sierpami, kazał najmitowi skrócić na "bose drogi", tym razem w Grzymałową dolinę, otaczającą wąskie chłopskie pólka.

- Złość parochowi wykręca głowę, po to zjechał z szosy, by przypadkiem nie zetknąć się z nami. Na pewno wykreśli mnie z księgi wiemych - rzekł Janek.

- Bałam się o tym mówić, bo to osoba duchowna, grzechem więc jest takowe posądzanie - odezwała się Janka.

Niebawem stanęli na Michalskiej półmorgu. Janek odciął od między dwie garście pszenicy, czyniąc z nich na skraju pola znak krzyża, po czym odśpiewawszy kolędę "Do szopki" pochyleni ku słońcu rozpoczęli wśród szumu sierpów, polnych koników i przepiórek swoje pierwsze żniwa. Z przyjemnością pracowali przez duży, letni dzień, a kiedy zmrok utulił okolicę, wrony zleciały koczować na boryczowskie topole i na żdźbłach pszenicy pojawiła się wieczorna rosa - wracali do domu odpocząc, by nabrać sił do następnego żniwnego dnia.



## ROZDZIAŁ X

- A jednak, otcze, dobrze przeczuwałem, że Hnatiuka czuć bolszewikiem - relacjonował Szary parochowi. - Gada z daleka wyczuję dodał. - A chociażby nawet dzisiaj, gdzież on? Co? Nie ma go na zebraniu i to już po raz czwarty, jeśli się nie mylę. Byłoby nam gorąco, gdyby o naszej organizacji pisał co nieco Lachom - ciągnął Marek.

Paroch, utkwivszy oczy w okragłej, cerkiewnej kopule, odpart: - Tak, to prawda, nie wszyscy nasi bracia rozumieją sens i potrzeby naszej organizacji i cerkwi. Nie można się zbytnio dziwić, to mieszanina, mimo to musimy powoli ale sukcesywnie zdobywać dla naszej sprawy coraz większą rzeszę młodych, sprzyjających nam ludzi. Nasi starsi druhowie, przelewając niegdyś krew za naszą matkę ziemię, spokrewnili się z Lachami, Czechami, Rosjanami, a nawet Żydami. Ci niewiele mogą być przydatni naszej sprawie. Natomiast synowie ich, chrzczeni w naszych cerkwiach, muszą być nasi. Należy odwiedzić i utrzymywać kontakt z dawnymi pułkownikami petlurowskimi, szczególnie w Hleszczawie, Załawiu, Iwanówce i Semenowie. Tam znajdziemy grunt i oparcie oraz wszystko, czego pilnie potrzebuje nasza organizacja. Działania muszą być kierowane przez starszyznę cerkwi. Jak dotąd, w tej sprawie niezłe wyniki uzyskuje druha Medwed z Hleszczawy. Odnośnie Hnatiuka, proponuje w jego miejsce Kolduna. Zaczny to człowiek, dobry wojownik, a dusza twarda jak stal. Człowieka zabić to tyle co psu muchę lyknać. Wiele razy swego czasu widziałem go przy robocie z szabłą czy bagnetem. Poza tym trudno znaleźć w okolicy pobożniejszego człowieka, nie ma miesiąca, żeby u spowiedzi nie był - kończąc powiedział paroch.

- Jeśli łaska, otcze, kaźcie mnie iść do Iwanówki. Znam drogi i tamtejszych ludzi - zaproponował Szary.

Tymczasem na dziedzińcu plebanii zajechał ciężki, gospodarski, dwukonny wóz, zagłuszając stukotem na wpół żelaznych kół bracką rozmowę.

- Służba zjeżdża z pola, kończmy debaty - rzekł paroch, kierując się ku wyjściu na podwórze.

Na dworze zapadł zmrok. W miasteczku zabłysło tu i tam elektryczne światło. Paroch, ujawszy Marka pod rękę, przez dłuższą chwilę chodząc po dziedzińcu, wciskał mu słowa instruktazu - które Szary, układając w dobrej pamięci, na koniec uściskawszy dłoń parocha, szepnął:

- Zgoda, batku, otamane, stanie się wedle waszego rozkazu, wyruszę przed wschodem słońca. Za chwilę niczym cień, przemykając się obok głównej furty, zniknął w nie oświetlonym korytarzu niewielkiego domu stojącego tuż obok cerkiewnej posesji. Jednocześnie Marijka, odprowadzwszy go oczami za bramę, przeżegnała się bojaźliwie i któryś raz z rzędu szepnęła: - To tylko diabeł wcielony.

Niebawem najmici cerkiewnego gospodarstwa, oporządziwszy na noc inwentarz, zasiedli do wieczerzy, opróżniając z miski marmatę skąpo kraszoną stopioną słoniną. Oblizując drewniane łyżki, spoglądali na drzwi, za którymi Marijka szykowała dla domowników wykwinną wieczorną strawę. Niestety, nie był to dzień imienin księdza parocha, kiedy to najmitka na wyraźne zlecenie plebana podawała służbie podwójną porcję jedzenia.

- Psy lepiej tu jedzą od nas - skarżył się któryś z najmitów - co doszło do uszu parocha, a że zdarzało się to często i tym razem tę skargę puścił mimo uszu.

Kiedy duży wóz gwiazdny wytoczył się na niebo, na cerkiewnym folwarku ucichło, tylko psy puszczone z uwięzi, harcując szukały dróg wyjścia na ulicę, a że szczerlnie zamknięte bramy nie pozwalały na ich zachcianki, niebawem ułożyły się w stajni obok bartogu najmitów.

Wczesnym rankiem, zgodnie z zapowiedzią, Szary zakolał do drzwi plebanii. Otworzyła mu Marijka, witając go w duchu swoim "diabeł wcielony". Wszedł na pokoje, gdzie oczekiwał go paroch. W niespełna godzinę potem, zaopatrzony w dodatkowe instrukcje, podążył w Sady. Za wygonem zszedł na "bose drogi", rozmyślając o sposobie wypełnienia zleconych mu zadań. Na wysokości małej figury, stojącej obok Feniowego sadu, usłyszał wyraźne człapanie ciężkich butów, po czym głos Hnatiuka, pytającego Marka, dokał tak z rana podąży.

- Do Hleszczawy idę - odrzekł zatrwożony Szary. A wy skąd tu Hnatiuk o tej porze? - zapytał w odwet.

- Ze szpitala idę. Przeleżałem tam caluśkie żniwa - odpowiedział.

- O! Co znowu! - zakrzyknął Marek - Jakaż to choroba zaprowadziła was do szpitala?

- Tak to już jest na tym świecie Bożym, jeśli człowiek ma kapkę zdrowia, to go szanować nie umie - zaczął na nowo Hnatiuk. - Któregoś dnia kosilem dolinę, zebrała mnie chętką poleżeć na pokosie, a że pokos był świeży, ot i zarobiłem. Lekarze stwierdzili wodę w boku.

- To straszne i kosztowne, co? - zapytał Szary - Czy nie było możliwości ściągać wodę domowym sposobem? - dodał.

- Robiło się to i tamto, Marku. Radziły mnie babki, abym się

pokrzywami owijał lub smarował jadem szczerym ze żmij. W pokrzywach uleżeć nie mogłem, a o jad ze żmij trudniej było jak o lekarza. Leczone różnym sposobem, nawet zieleń święconym kadzono wokół łóżka, gdzie leżałem. Omal że na drugi świat mnie nie wyprawiono, a że do zdrowia nie przychodziłem, sprowadzono lekarza, który nie zwlekając skierował mnie do szpitala i, jak widzicie, wracam.

- Sława Wiekuistemu, że was na nogi postawił - odrzekł Szary. - Baliśmy się o was, Hnatiuk - dodał.

- A rozumiem - odrzekł tamten. - byliście w obawie, że mi się w głowie przewróciło i z językiem polecę, a w dowód papierek z podpisem atamana przedstawię. Nie, tego nie mógłbym uczynić. Nie ma obaw. Dawno to pismo zniszczyłem. Szpiclem nie jestem. Nie nadaję się na to.

- Bywajcie - rzekł, skrecając na ścieżki biegnące przez majątkowe łąki.

- Ach, byłbym zapomniał - dodał Hnatiuk - powiedzcie parochowi, że życzę mu rychłego powrotu do zdrowia, gdyż jak mi się wydaje, pomieszkało mu się w głowie, a szkoda, taki ludzki i bogobojny człowiek.

Szary stanął jak wryty. Gdyby chociaż odrobinę mógł widzieć, natychmiast podjąłby z drogi kamień i cisnął nim w głowę bolszewika. Zdjął kapelusze, wycierając chustką spocone ze zmęczenia i złości czoło. Zakrzyknął:

- Powiem! Powiem! Bądźcie dobrej myśli! Spotkanie z parochem nastąpi, o co sami prosicie albo uczynią to inni z przyjemnością! Uliżyło Markowi, gdy na drodze pozostał sam. "Ma rację paroch, że wielu starych druhów zdurniało" - rozmyślał. Około dwóch godzin potem wszedł do miejscowości znanej mu jak własna kieszeń. Na rozdrożu obok drewnianego krzyża zapukał do bramy Wasyla Kolduna. Powitały go łańcuchowe psy. Z przekleństwem na ustach uchyliła bramy gospodyni domu.

- Ach, to wy, Marku - zawołała zobaczywszy sterczącego z sękatą łaską Szarego. Myślałam, że to znowu jakiś żebrak, oberwaniec się wlecze, a było ich dzisiaj jak rzadko kiedy, a co jeden to młodszy. Chyba że worek dziadowski się rozwiązał, w którym Pan Bóg ich trzyma. Myślicie, że zadowalają się kawalkiem chleba, gdzie tam. Pieniądze by braли, mąkę, zboże. Któregoś dnia jednemu kazalem się pomodlić za mego ojca nieboszczyka i wiecie co? - odburknął, że ojciec nieboszczyk nie zasługuje na modły, gdyż wedle niego był człowiekiem niedobrym, niesprawiedliwym i czymś tam jeszcze gorszym.

- Słyszycie, Marku, taki żebrak śmiał mnie pouczać. Wypędziłem go, szcując psami. Ot i dlaczego zakrzyknęłam i Wieczystego

wspomnialam, kiedyście się tu zjawili. Ale ja tu gadu, gadu, a wy pewnie z interesem do mego starego.

- Wasyl! Wasyl! A chodźże, mamy gościa - zawołała.

Koldun, stojąc w drzwiach stodoły, zobaczywszy Marka, naprędcie wytarł wiechemi słomy ręce i podbiegł przywitać rzadkiego gościa. Po chwili, patrząc na zdrożonego Marka, huknął:

-Katarzyno! Przynieś miodu i chleba. W chwilę potem starzy przyjaciele, zostawszy sami, rozprawiali o arcyważnych sprawach tamtejszej ziemi i cerkwi.

- Jesteście osiemnastomorgowy gospodarz piśmienny i znający świat, nie wspominając o zasługach poniesionych na polach bitew w szeregach Petlury. Ostatnie zebranie cerkiewnych braci powierza wam przeto wielkie zadanie wierząc, że nie zawiedziecie - ciągnął Szary.

Podbechtany na ambicji Koldun, patrząc przez okno w pola, rzekł ochryplym głosem: - Jak trzeba, to trzeba.

- A co z Hnatiukiem? - zapytał zniecka Marek.

- Leży w szpitalu. Nie wiadomo, czy wyjdzie z tej choroby. Mówią, że wodę ma w boku - odpowiedział Koldun.

- Podobno to człowiek czytany - dodał Szary.

- O tak, książka to jego przyjaciel. Ogólnie jest szanowany i lubiany. Jedyne z księdzem żyje w niezgodzie. Powiadają, że od pięciu lat u spowiedzi nie był. Wytknął mu to ksiądz z ambony - dodał.

- Co? Z ambony? To ciekawe - udając zdziwienie rzekł Szary. Zapewne czuł się jak na węglach, słuchając cerkiewnego napomnienia.

- Ależ skąd, nie widziano go wówczas w cerkwi. Słyszałem, że od dnia kiedy nasi mójcy utopili w topieliskach Wygnańskiego, nie uczestniczy w żadnych cerkiewnych nabożeństwach, twierdząc, że w morderstwie tym maczała palce starszyzna cerkwi - odrzekł Koldun.

- Pamiętam, pamiętam - chrząknął Szary, wycierając pot, który nagle wystąpił mu na czoło.

- Pójdę już - rzekł półgłosem. Do miasta kawał drogi. Gdyby ktoś pytał, czego tu byłem, mówcie, że za zieleń na łamanie kości, bo was tu z tego znają. A, byłbym zapomniiał powiedzieć, przechowajcie wojenną pamiątkę, wiszącą w stodole po prawej stronie drzwi, na kołku pod kupą starych święconych wianków. Ukryjcie to na przykład gdzieś w stogu, tam będzie wygodniej i pewniej.

Koldun zbladł. Omalże zdrętwiał z przerażenia, zachodząc w głowę, skąd on tak dokładnie wie o tym schowku. Mógł to ujawnić tylko ktoś domowy, ale kto?

- Czuję, że zatrwożyłem was. Wybaczcie, ale ostrożność w

dzisiejszych czasach nie zaszkodzi - odezwał się Szary.

- Zgoda, nie zapomnę wziąć nauki do serca - odrzekł Koldun, otwierając Szaremu zewnętrzną bramę, po czym nie zwlekając popędził do stodoły, tam zdjawszy z kołka święcone wianki, rzucił je w kąć zapola, natomiast zdobyc z wojennych czasów w postaci rosyjskiego nagana wetknął wysoko pod kapice między strzechę a krokiew.

Szary tymczasem, znalazłszy się samotnie na polach, poczuł dziwne przygnębienie.

- Zemla moja ridna, zemla - szeptał siadając na brzegu rowu pełnego chwastów i dzikiego ziela. Wsłuchując się w gwar polnego ptactwa, brzęk pszczoł oraz szeleszczące w oddali, spalone żniwnym słońcem perekoły pola. Całym haustem wchłaniał powietrze napelnione aromatem przydrożnych rumianków i łąnów kwitnących hreczek. Zmęczony drogą i treścią posłannictwa niebawem usnął. Widocznie miał błogi sen, bowiem trwał w nim prawie do zachodu słońca. Obudziły go wieczorne krople rosy. Mimo dłuższego wypoczynku czuł się nadal mocno znużony. Wracając do miasta z każdą chwilą tracił siły. Dotarłszy do Sadów, w "ściankach" nad granicznym rowem znowu zaaplikował sobie odpoczynek. Próg własnej izby przekroczył dopiero późną nocą.

Nazajutrz paroch, znając usposobienie zdyscyplinowanego Marka, zdziwił się, że ten nie zjawił się na plebanii o umówionym czasie. Począł więc słać służbę do mieszkania Szarego, za każdym jednak razem posłaniec wracając informował, że mieszkanie Marka zamknięte na klucz. Paroch pełen złych przeczuć chodził z kąta w kąt. Jak mało kiedy zaglądał do stajni, obory i chlewów. Zwymyślał najmitów, nawet Rozboja zdzielił trzcinką, mimo że go lubił, bowiem chował go i pieścił od szczeniaka.

- O serdytyj nyini nasz pan, serdytyj - szeptali najmici i służba domowa. Jedyne Warynycia domyślał się powodu tegoż rozdrażnienia, a że nauczył się trzymać język za zębami, więc milczał.

Tego dnia na plebanii zjawił się na wpółobdarty młody mężczyzna. Prosił o audiencję u parocha. Niebawem wpuszczony do "służbówki" został wysłuchany i otrzymał obietnicę pracy najmita w gospodarstwie Semeniuka.

- Będzie ci tam dobrze, jeśli się postarasz - dodał paroch na odchodne.

W niespełna godzinę człowiek ubiegający się o służbę w gospodarstwie zakolatał do wrót Semeniuków.

- A czego tam znowu - huknął Wasyl, widząc przed obejściem obdartego młodzieńca, trzymającego pod pachą nieduży węzełek.

## ROZDZIAŁ XI

- Sława Bohu, ja od parocha - odrzekł przybyły.  
- A od parocha. Czy coś się złego przydarzyło? - zapytał zdziwiony Semeniuk.  
- Oteć przykazał, abym się do was na służbę zaciągnął - odrzekł ponownie przybyły.  
- Hm, jeśli o to chodzi, to co innego. Nie spodziewałem się, ażeby to nastąpiło tak prędko. A jak cię zwa? - zapytał Wasyl, ciekawie przypatrując się przybyszowi. Czytać umiesz? - dodał nagle.  
- Nie, nie umiem, nikt mnie tego nie nauczył.  
- No i dobrze, że nie umiesz, przynajmniej nie będą się ciebie herezje czepiały - mruknął Wasyl.  
Anastazja, usłyszawszy u wrót nieznamy głos, wyjrzała za płot, gdzie wciąż oczekiwał wymizerowany młodzieniec.  
- Wiele masz lat chłopcze? - zapytała.  
- Minęło mi dwadzieścia - odrzekł.  
- Wasylu, każ chłopakowi wejść na podwórze, dlaczego rozmawiacie za bramą?  
- U mnie nie będziesz miał rajy - rzekł zniecierpliwiony Wasyl, kiedy młodzieniec znalazł się na posesji. Roboty u mnie dużo, bardzo dużo, chyba paroch mówił ci o tym. No zobaczymy. A wiele życzysz sobie za służbę miesięcznie? - zapytał.  
- Cóż, dacie wikt, piątkę miesięcznie i ubranie do roku - odrzekł Kałyna.  
- O nie, tyle nie dam. Przecież zima na karku i w chałupie przy piecu będziesz siedział - odrzekł gospodarz.  
- Rozumiem, nie możecie. Wobec tego wracam tam, skąd przyszedłem.  
Semeniuk, reflektując się, wiedział, że gdy nie przyjmie przysłanego mu najmita, obrazi parocha, rzekł więc: - Chłopcze, dam piątkę przez lato, natomiast przez zimę tylko wikt i ubranie do roku, to moje ostatnie słowo. Kałyna, będąc już na drodze, zawrócił, wszedł na obejście, postawił obok nóg zawiniątko, po czym prawie szeptem wyrzekł: Dobrze, zostaję. Przyniesiony ze sobą dobytek złożył na wskazane w stajni miejsce, mające mu służyć za mieszkanie. Jako pierwszą czynność przedsięwziął poprawienie barłogu, stojącego tuż za drzwiami, w którym spędzał noce poprzedni najmit, a kiedy ukończył pracę, rozglądając się po podwórku, szepnął: - I znowu zaczynam od początku.

**T**egoroczna jesień nie odbiegała od poprzednich podolskich jesieni. Bywały dni pełne chmur, raczących ziemię obfitą mżawką i zachodnim wiatrem, bywały też dni pełne słonecznej krasy, a przy tym przepięknego "babiego lata". Korzystając z co piękniejszych dni sadowanie kończyli siał oziminy oraz wykopki ziemniaków i zbiór późniejszych warzyw. Niezgorzej wiodło się też Semeniukom. Wkładając bezmiar wysiłku, nie pozostawali w tyle za wzorowymi gospodarzami.

Ogólnym dobrem majątnych ludzi najmniej cieszył się Kałyna. Z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień obrywała się reszta ubrania. Szył i drutował - i tak niekiedy przy pracy przebłyskiwało przezeń grzeszne ciało. Oczekiwał wypłaty za robocze miesiące licząc, że niebawem zakupi tanie ale niedzielne ubranie.

- Poparaduję sobie - myślał. Wieczorem wyskoczę na potańcówki urządzone na boiskach, a może odwiedzę niektórych znajomych. Na takich rozmyślaniach Kałynie jak błyskawice uciekały noce i dni, a stary Semeniuk ani myślał za ostatnie trzy miesiące robocze zapłacić.

Któregoś wieczora Kałyna, wracając z pola pieszo, nadział się na biały płomień unoszący się obok wojennego nagrobka usytuowanego nad przydrożnym rowem.

- Ki diabeł - pomyślał drżąc z przestachu. Chciał ruszyć do przodu, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Jednocześnie w pobliżu usłyszał turkot wozu i głośnie parskanie koni. Głęboko odetchnął, wpatrując się w cień zbliżającego się pojazdu. Niebawem dobiegł go znajomy głos.

- To Medwed - szepnął. Kiedy wóz zbliżył się o kilka kroków, Kałyna zebrał się na odwagę - zakrzyknął: - Gospodarzu, zabierzcie mnie do Sądów.

Drogę rozświetlił snop elektrycznego światła i jednocześnie zagrzmiął tubalny głos hleszczawieckiego kmiecia: - Siadaj, Kałyna, podwiozę, jadę w tym kierunku. Najmit, nie dając sobie powtarzać, w mgnieniu oka wgramolił się na rozworę.

- Jak ci tam na nowym miejscu? - zawołał zniecierpliwiony Medwed.  
- Jak wszędzie, gospodarzu - odrzekł najmit.  
- Sprawuj się, będzie ci dobrze. Semeniuk to dobry człowiek. Wprawdzie wymagający ale nieskąpy. Dużo ci płaci?  
- Nie za wiele, piątkę miesięcznie, a zimą tylko wikt - odpowiedział

Kałyna.

Nagle, zanim dojechali do Grzymałowej Doliny, ponownie zabłysnął strumień białego światła.

- Ach, jakie to straszne - huknął Kałyna, czyniąc jednocześnie znak krzyża.

- Boisz się? Przecież to nic innego jak groby fosforyzują - rzekł pouczająco Medwed. Kałyna nie zadowolili się wyjaśnieniem, bowiem nie pojmował, dlaczego dusza w postaci fosforu siedzi przy nieboszczyku przez dzień, a nocą ulatuje ku niebu. Przed wygonem Medwed, przytrzymując konie, zawołał: - Jesteś na miejscu, mnie droga w inną stronę. Dziękując gospodarzowi za podwiezienie Kałyna szybkim ruchem zeskoczył z wozu, udając się w głąb Sadów. - "Dziwny, odważny i straszny ten Medwed" - rozmyślał medytując o tym i owym. Niebawem znalazł się w obejściu swego gospodarza. Burek, radośnie szczekając, witał go szybkim merdaniem ogona, liżąc mu przy tym chwilami twarde, żylaste ręce.

Niebawem okolicę nawiedziły zawiesiste mgły, pogoda się pogorszyła, utrudniając spóźnialskim ostatnie połowe prace.

I nic by w tym nie było dziwnego, gdyby któregoś dnia od Wolicy nie dmuchnęło silnym wiatrem, niosąc przy tym cząstki słomianych dachów oraz suche ziemniaczane badyłe zmiecione z pobliskich pól i ogrodów, a po niebie nie prześlizgiwały się kręte błyskawice zmieszane z odgłosem gromów i cerkiewnych dzwonów. Z uwagi na późną, jesienną porę uznano to za niezwykle przypadek. Burza trwała małą chwilę, jakby z zabłąkania zostawiwszy po sobie odgłos kilku gromów i błyskawic, uciekała. Niebawem ukazało się zamglone słońce, lecz dzwony wciąż grały.

Główną ulicą miasteczka spowitą wonią kadzideł, świerkowych wieńców i smętnych pieśni na wieczny odpoczynek prowadzono ciało starszego cerkiewnego brata Marka zwanego Szarym. Na czele niebywale długiego pogrzebowego konduktu w żałobnym stroju cerkiewnym szedł ksiądz paroch. Wkrótce wygłosił nad grobem tradycyjną pożegnalną mowę. Żywot zmarłego przedstawił w samych superlatywach, nazywając go człowiekiem wielkiego serca, gorliwym wyznawcą wiary cerkiewnej, czym niewątpliwie zaskarbił sobie miłość bożą. Nie dożył chwili, o której marzył - dodał - wolę działania dla umiłowanej ojczyzny pozostawił nam żyjącym. Toteż tu, nad twym grobem przyrzekamy ci bracie, że dzieła prowadzonego przez ciebie nie zaprzepaścimy. Za poniesiony trud dla cerkwi i jej wiemych składamy podziękowania. Niechaj pamięć o tobie na naszej ziemi będzie wieczna - rzucając na trumnę garstkę ziemi - rzekł na zakończenie. Rozległ się głuchy odgłos ziemi spadającej na trumnę,

tworząc mogiłę przybraną niebawem w górę wieńców i kwiatów.

W wielu sercach okolicznych ludzi Szary po sobie zostawił żal, w wielu też błogą ulgę.

## ROZDZIAŁ XII

**M**inęła jesień. Nastąpiła sroga zima, okrywając sady białosnieżną szatą już w pierwsze roraty. Szczególny wygląd przybrały chatynki ogacone słomą lub liśćmi z pobliskich drzew, gdzie przed zimnem chroniło się dzikie ptactwo, jak: wróble, sikorki i szczygły, a niekiedy nawet białe - czarne sroki.

U starych Semeniuków zostało po dawnemu. Kałyna nadal chodził w podartych spodniach, obszarpanej kurtce i ledwie trzymających się kupy butach. Gdyby Anastazja nie obdarowała go starymi łachami po Janku, zmarłby jak robaczek na mrozie. Rozpoczął dni służby jedynie za wikt. Ciągłe oczekiwał wypłaty za ubiegłe robocze miesiące. Zaraz po zimie odejdę, jeśli nie dostanę wypłaty - myślał. Nadal sypiał w stajni, podwyższając niekiedy wyrko, bowiem dołem niemiłosiernie ciągnęło zimnem. Często wsłuchany w groźny pomruk zimowych wichrów zmieszanych z nocnym zawodzeniem puchaczów i sów przesiedział nie śpiąc całą noc, mierzając ją zachodem słońca i porannym pianiem kogutów.

Tuż przed świtem Bożego Narodzenia Kałyna, sprzątając na podwórku zaśnieżone ścieżki, usłyszał wątek rozmowy gospodarza z gospodynią, dotyczącej uregulowania najmitowi za ubiegłe miesiące, co miało to nastąpić tuż przed świętami za pierwsze sprzedane zboże. Odtąd Kałyna aż do świąt liczył dni i godziny. Niebawem minął oczekiwany dzień, minął Nowy Rok, przeszło Trzech Króli - Semeniuk z zapłatą najmitowi nie śpieszył, a nawet ostatnio przestał wspominać.

W tydzień po świętach Gregorcowicz, urządzając tłokę obierania kukurydzy, zaprosił co bliższych sąsiadów. A że wieczór zapowiadał się wesoło, starym zwyczajem na wspomnianą tłokę głównie zebrała się młodzież z Potoków i Koroluchy. Między innymi znalazł się Kałyna. W zasadzie czuł się nieswojo, lecz że to Semeniuk polecił go za siebie, musiał więc tę noc poświęcić tłoce sąsiada.

- Jak się masz Kałyna? - zagaił ktoś nagle. Oglądnał się i zobaczył uśmiechniętego doń młodego Semeniuka.

- Dziękuję, postaremu. Ciągnę, jak mogę, by zadowolić gospodarzy - odrzekł.

- Siadaj tu przy mnie, pogadamy - poprosił przyjemnym gestem Janek. Od tej chwili, siedząc przy sobie podczas rozbierania

kukurydzianych kolb z koszułek i jedwabistych włosów, o czymś żywo rozprawiali do końca tłoki.

Przed północą Świdorski zaproponował zebrany, by kolejno opowiadali swoje najciekawsze przeżycia, najlepiej jednak zabarwione dreszczykiem. A że znany był z licznych własnych przygód, proszono, by zaczął pierwszy.

- Ha! Kiedy tak nastajecie, to powiem - rzekł pojednawczo Świdorski. Swego czasu - rozpoczął - będąc w mieście za sprawunkami, zabawiłem nieco dłużej. Do domu wracałem już późną nocą. Droga przypadła mi przez grabowe ścianki, później przez sad starej Traczychy. Mimo że było ciemno choć oko wykol, szedłem do przodu. Nagle jak coś nie błysnie i nie trzaśnie, aż mnie ze strachu włosy się zjeżyły, że czapce niewiele miejsca na głowie zostało, wyciągam ręce przed siebie, przede mną ściana, wznoszę ręce ku górze, macam, strzecha. Aha, chata starej Traczychy - pomyślałem. Jak nigdy przedtem obleciał mnie ponownie strach. Skierowałem się zatem na ścieżkę prowadzącą w gąszcz sadu Czerniewiczów. Nie uszedłem i dziesięć kroków, gdy jakby spod ziemi ponownie trysnęła wielka jasność.

- Ki diabeł nocą po krzakach łazi? - myślę. Stałem, by odsapnąć. W tym czasie z owej jasności jakaś nieczysta siła jakby skrzydłami gęsiich piór musnęła mnie po twarzy, po czym z wolna, lecz coraz mocniej przygarniała mnie do siebie. Chciałem krzyknąć, ale głos mi ugrzązł gdzieś w dołku. Obalony na ziemię leżałem twarzą do góry. Jak mnie znacie, nie jestem bojaźliwego ojca syn. Wówczas jednak czułem, że ze strachu umieram.

- I co? I co? - pytała zaciekawiona młodzież.

- Leżałem tak do białego dnia, a kiedy słońce rozświetliło gęstwiny sadu, pojąłem, że ponownie znajduję się pod chatą starej Traczychy, a przecież odszedłem stamtąd. Jeszcze dzisiaj chodzą mi po plecach ciarki na myśl o tym niesamowitym zdarzeniu. Od tamtego wieczora nigdy już nie chodziłem na skróty.

- Tak, tak, to święta prawda - droga krótsza przeważnie staje się dłuższą - wtrącił się Gregorcowicz. Dziadek mój, świeć Panie nad jego duszą, nieraz opowiadał o istniejących strasznych w sadzie Czerniewiczów. Raz kiedyś w samo południe, idąc tamtą ścieżką, przysięgał, że na grzebieniu chaty starej Traczychy widział rozpartego na pazurach "nieczystego".

To ciekawe i nieprzyjemne - zagaił Trembecki - mnie swego czasu przydarzyło się coś gorszego. Jesienią któregoś popołudnia - zaczął - wybrałem się do ciotki mojej, zamieszkałej w Krowince, przyciągnąć jej

z lasu trochę drewna na opał. Przy układaniu ostatnich drew zastała mnie noc. Wieczera zakrapiana mocno siwuchą, bo ciotuchna nie żalowała, spowodowała, że do domu przyszło mi wracać dopiero około północy. A że drogę znałem jak swoje ucho, skierowałem się zatem na ścieżki biegnące nad rakowieckim cmentarzem. Kiedy zrównałem się z nasypem, gdzie zwykle chowano samobójców, nagle przede mną wyrosła wysoka, biała jak śnieg postać. Czułem się na siłach, ale wówczas coś mi je odjęło. Pomyślałem, że to duch któregoś źle pochowanego nieboszczyka. Utwierdzał mnie w tym dziwny głos straszdyła wydobywający się z jego wnętrza niby plusk wody zmieszany z głuchym jękiem konającego zwierzęcia. Zjawą nagłym ruchem objęła mnie swoimi mackami - wówczas zemdląłem.

- I co dalej? I co dalej? - pytała młodzież.

- Rankiem - ciągnął - obudziłem się w objęciach człowieka, od którego, po stokroć więcej jak ode mnie, cuchnęła oparami siwucha. Uwolniłem się z jego rąk. Wstałem i z całej siły kopnąłem go w zadek, a gdy spostrzegłem, że żyje, splunąłem i zbiegłem w dół Sadów.

- Cha, cha, cha, a to ci heca! - wrzasnęła gromadnie młodzież.

Posypało się jeszcze kilka mniej dorodnych i zmyślonych zdarzeń, a gdy na dworze począł rodzić się świt, Gregorcowicz - goszcząc zebranych studentem, zaprząką mocno przyprawionym bągu wiśniakiem - dziękował bliższym i dalszym sąsiadom za wykonaną pracę. W wesolej więc nastroju opuszczano gospodarstwo Gregorcowiczów. Młody Semeniuk i Kałyna nie śpieszyli się zbytnio do swych domów, pozostali na ulicy pełnej iskrzącego się mrozu, ciągnąc jakby nie dokończoną rozmowę na tłoce. Po chwili jednak, gdyż zimno dokuczalo coraz bardziej, młody Semeniuk, wyciągając rękę na pożegnanie, rzekł przyciszonym głosem:

- Chciałbym ci pomóc, przyjdź do mnie któregoś wieczora, porozmawiamy. O pracę dzisiaj trudniej jak o relikwie. Paskudne czasy.

- Przyjdę - odrzekł Kałyna. Zdziwiony wywodami młodego Semeniuka potrząsnął podaną mu na pożegnanie rękę, biegnąc truchcikiem na gospodarstwo oporządzać żywy inwentarz.

Jak białym trzasnąć minął świąteczny miesiąc. Korzystając z siarczystych mrozów, w stodołach stukały cepy, młóć przeważnie pszenicę. Któregoś dnia Wasyl, zdobywając się na parę słów rozmowy z Anastazją, oświadczył, że do miasta ze zbożem mu trzeba, bo niebawem "finanse" spadną za nie opłacony podatek. Gospodyni, zwróciwszy oczy ku ziemi, zapytała: - Pewnie przy okazji najmitowi zapłacisz?

- Nie wtrącaj się do nie swoich spraw - odparł.

Następnego wtorku, prawie przed wschodem słońca, Semeniuk z Kałyną saniami z kilkoma workami pszenicy podążali w kierunku miasteczka. Po drodze zatrzymali się przed chatą Icka Aszkienazego trudniącego się handlem zboża. Po krótkim targu i uderzeniu w dłonie towar został sprzedany, a że Żyd był ludzki, z uwagi też na zimno, poczęstował Semeniuka kieliszkiem szabasówki. Po czym w gospodarza jakby coś dmuchnęło, chwycił za lejce, trzepnął konie po grzywach, pędząc w kierunku Sadów.

- Żeby to diabli wzięli, nawet na podatek nie starczy - rzekł do Anastazji, gdy stanął w obejściu - a co będzie z asekuracją, z kominowym, drogowym i podatkiem za psa? - dodał.

- A co z Kałyną? - zapytała.

- Co cię tak pili jego sprawa? Przecież z głodu nie zdycha. Niech Bogu dziękuje, że dach ma nad głową i żyć mu daję zimową porą - wrzasnął Wasyl. Może po Jordanie co sprzedam, to mu wyrównam - dodał.

Słyszając to, Kałyna przestał się ludzić otrzymaniem wypłaty, począł myśleć, co czynić dalej. Tymczasem nadszedł dzień Jordana. Wiemi w tym dniu, jak każdego roku, licznie zgromadzeni na zamarznętej rzece Gnieźnie prawie od świtu dobierali sobie stosowne miejsca, oczekując tradycyjnego nabożeństwa, a szczególnie chwili, kiedy to do przerębła wyciętego w lodzie, tuż obok sporządzonego ołtarza, spadnie pierwsza kropla poświęconej wody. Omawianego dnia, dokładnie o godzinie dziesiątej, rozdzwoniły się drobne dzwonki, oznajmiając zebrany rozpocząć niezwyklej uroczystości. Ku górze, pod ołowiane, zimowe chmury, począł unosić się siwy dym kadzideł zmieszany z chóralnym głosem nabożnych pieśni. Nagle ktoś przerwał religijną zadumę, krzyząc:

- Ratujcie! Semeniuk wpadł do wody!

Istotnie Wasyl, chcąc być najbliższym przerębli, już od wczesnych godzin warował na krawędzi zapasowej przerębli, kiedy jednak na tafli lodu przybyło wiemych, ktoś niechcący potracony wpadł po szyję do zimnej topieli. Wielu stojących obok ludzi, idąc mu z pomocą, opuszczało do przerębła rzemienie, laski, a nawet sznury, wszystko to jednak nie pomagało, zdrętwiały Wasyl nie był już zdolny do uchwycenia się któregoś z przedmiotów i wyjścia na zewnątrz. Jeszcze chwila, a chłodny prąd głębokiej w tym miejscu rzeki ująłby w swe czeluście zdrętwiałego Wasyla gdyby nie syn Icka Aszkienazego, który, widząc bezradność cerkiewnych braci i tonącego, odepchnął stojącą gawiedź, położył się na lód i, ku ogólnemu zdziwieniu tłumu, wyciągnął z poświęconej wody starego Semeniuka, krzyząc: - Do młyna z nim!

Kilku wiemych, jakby na rozkaz w mgnieniu oka przeniosło go do pobliskiego mącznego warsztatu.

Niemile wydarzenie, stojąc przy ołtarzu, obserwował ksiądz paroch. Ubodła go bezradność cerkiewnych współbraci, szczególnie pomoc Aszkienazego. Wolałby, żeby to się nie stało przy tak wielkim święcie.

Wzorem lat ubiegłych starszyzna, odprowadzając parocha na plebanie, debatowała o różnych sprawach, głównie jednak o przygodzie Semeniuka. Co bogatsza starszyzna zaproszona na poczęstunek gwarzyła do późnej nocy. Wśród nich swoją obecnością zaszczykali: Medwed z Hleszczawy, Kołdun z Iwanówki i Kiryłoś spod Wolicy. Gdy wracali do domu, towarzyszyła im gęsta, śnieżna zadymka. Medwediowi i jego druhom wypadła droga ulicami: Kopyczyńską, Iwanowską i Zieloną. Mijając ostatnie wolickie zabudowania, natknęli się niespodziewanie na jakby spod ziemi wyrosłych trzech umundurowanych funkcjonariuszy policji. Wystarczył ułamek sekundy, by dwaj cerkiewni bracia Medwid i Kołdun zniknęli w rozległym obok wertepie ciągnącym się wśród dziko zarośniętych krzewów. Kiryłoś natomiast, nie czując się w niczym winny, pozostał na drodze, toteż funkcjonariusze pomimo próśb i jego oświadczeń, pojmali go, doprowadzając przed świtem do najbliższego komisariatu policji.



## ROZDZIAŁ XIII

**W** ostatnią niedzielę lutego ulicami Starego Miasta Trembowli w kierunku Zieleńcza podążała Faurona. Nie zwracając uwagi na mijających ją ludzi i furmanki niebawem znalazła się w podmonasterskim lesie. Widniały stąd sąsiadujące ze sobą wsie. Mijając ostatni zagajnik, spostrzegła na brzegu drogi leżącego człowieka.

- Kto wy? - zawołała patrząc na domarzającego młodzieńca. Odwróciwszy mu twarz, rozpoznała w nim Maksyma.

- Wstawaj chłopie, bo zamarzniesz - krzyknęła.

Ten, otworzywszy oczy, rzekł ledwie dosłyszalnym głosem: - Zostaw mnie, proszę, już mi dobrze.

- Myślisz, że wyrządzisz szkodę światu, jeśli zemrzesz? - odrzekła.

- Porzuć tę myśl i chodź ze mną - dodała.

Maksym jednak nie był już zdolny podnieść się o własnych siłach, toteż szepnął: - Nie mogę.

Faurona, nie widząc w pobliżu żywej duszy, poczęła ciągnąć go ku oddalonej jeszcze o kilka staj wsi, wołając gromkim głosem: - Ratunku! Ludzie! Pomóżcie!

Skuteczne okazało się Faurony wołanie, bowiem chwilę potem zjawili się kilku mężczyzn zabierając na wół zamarznętego Maksyma do najbliższego domu. Tam, rozebrawszy go, nacierano śniegiem, później octem, a gdy przyszedł nieco do siebie, podano mu parę łyków mocniejszej siwuchy. Przez dzień i noc najbliższą Faurona przy nim osobiście czuwała. Następnego dnia, wetknąwszy gospodyni srebrny pieniądz, rzekła:

- Pomóżcie mu przyjść do zdrowia, niedługo wrócę i za fatygę zapłacę, oczywiście zabiorę go wówczas ze sobą. Tymczasem Bóg wam zapłać za dobre serce - dodała patrząc w stronę chorego. Po chwili szepnęła:

- Trzymaj się, niebawem napiszę, po czym zamykając za sobą drzwi, a później brzośtowe wrota, podążała po mocno zamarznętym śniegu w drugi koniec wsi, gdzie na kilkumorgowym gospodarstwie gospodarzył jej daleki krewny.

Maksym po kilku dniach, mimo słabego jeszcze zdrowia, pomagał już w gospodarstwie. - Trudno mi siedzieć bezczynnie - mawiał. Ponadto oczekiwał obiecanego listu. Wreszcie po kilku tygodniach chłopiec z

sąsiedniego obejścia przyniósł zmięty i wybrudzony papier, powiadając, że pismo to od kilku dni wędruje po wsi, bowiem nikt tu nie zna Maksyma Horoszka.

Stokroć razy czytał Maksym pismo Faurony, za każdym razem, jak mu się zdawało, coraz mocniej ją lubił. Przed palmową niedzielą otrzymał następny list. "Wyobraź sobie - pisała - że kilka dni będziemy razem. Czekam tej chwili jak wielkiego święta - myślę, że się w Tobie zakochałam, ale o tym potem. Mieszkam w domku pewnej nieboszczki. Biedna staruszka zmarła parę dni temu, zostawiając mnie samiuteńką w chatynce o jednej izdebce. Pięknie tu latem, chociaż zimą też. Ach, co za szczęście, że przyjedziesz - pisała kończąc - po czym dopiskiem nadmienila: Jagielnica - Fabryka Tytoniu - Sortownia". Przed schowaniem tego listu Maksym kilkakrotnie ucałował go, licząc od tej pory dni i godziny.

Jak z bata trzasnął minął przedświąteczny okres. Nadeszła upragniona Wielkanoc. Tradycyjnym zwyczajem gospodarze odświętnie przybranym wozem ruszyli do cerkwi na poranne nabożeństwo. Maksym, siedząc na przednim pomoście, powoził końmi. W okolicy plant spostrzegł Fauronę zdążającą w kierunku miasta. - "Chyba mi się przewidziało" - pomyślał. Za chwilę jednak spostrzeżenie okazało się trafne, zatem poczuwszy raźniejszy stuk serca, przynaglił konie do biegu, wołając:

- Wio! Kary - wio! Gniady - wio!

Tuż przed domem Bożym gospodarze, wysiadając z wozu, przyłączyli się do ciżby ludzi dzierżących w rękach żółtawe świece, specjalnie odlane na tę uroczystość. Gorzało ich tysiące, niosąc z wiatrem ciężki swąd palonych knotów. Procesji akompaniowały dzwony, których głos zmieszany z nabożną, wielkanocną pieśnią odbijał się o Pokrówkę i Zamkową Górę.

Z uwagi na słoneczną pogodę nabożeństwo trwało prawie do południowych godzin. Z chwilą zaprzestania bicia dzwonów i grania cerkiewnej orkiestry dętej wierni rozchodzili się do domów, zamożniejsi dosiadali swych wozów, by co prędzej znaleźć się przy suto zastawionych stołach, na których obowiązkowo znajdowały się święcone jaja kurze, kiełbasa i świeżo tarty chrzan. Maksym, wioząc gospodarzy z powrotem na Zieleńcze, tuż za mostem, obok kościoła karmelickiego ponownie spostrzegł Fauronę. Nie pytając gospodarza o zgodę, zawołał:

- Siadaj Faurono! Ta oglądnięwszy się bez słowa oporu wgramoliła się na przedni pomost, sadowiac się obok Maksyma. Z uwagi na charakter święta gospodarze zaprosili na uroczyste śniadanie obojga młodych. Faurona wprawdzie się upierała, że to nie wypada nadużywać

tyle dobroci gospodarzy, po chwili jednak na prośbę gospodyni i spojrzenia Maksyma uległa. Toteż po odmówieniu stosownych modlitw zasiedli zgodnie i nabożnie do śniadania. Po spożyciu świątecznego posiłku Faurona, dziękując za przyjęcie, śpieszyła odwiedzić Hatamaniuków, mieszkających w Zieleńczu od niepamiętnych czasów. Wprawdzie w drugiej, a może w trzeciej linii należało liczyć tę krewność, jednak z uwagi na pamięć rodzica pozwalano jej przyznawać się do pokrewieństwa. Maksym, korzystając z okazji, wyszedł za Fauroną, by przynajmniej przez chwilę porozmawiać z nią o najbliższej przyszłości.

- No i jak ci tam było? - zapytała znienacka.

- Ach, dzień rokiem mi się stawał - odrzekł. Śniłem i tęskniłem. A ty? - zapytał.

- O tak - szepnęła przytykając oczy - bardzo, bardzo tęskniłam - dodała.

Rozmawiając o tym i owym ani się spostrzegli, jak zleciał im czas popołudniowy. Uzgodnili, że w pierwszą środę po świętach rozliczą się ze swoimi dobroczyńcami w Zieleńczu, wyjeżdżając do Jagielnicy, gdzie we dwoje pracować będą w tamtejszej fabryce tytoniu.

W oznaczonym dniu Maksym z węzełkiem pod pachą obok Faurony podążał ciężkim, miarowym krokiem na trembowelski dworzec kolejowy. Poranne promienie słoneczne rozświecały otulone rodzącą się zielenią miasto, gdy w kierunku plebanowskiego wzgórzka ruszył pociąg, ciągnąc za sobą wydłużoną chmurę siwego dymu zmieszanego z tysiącami czerwonych iskier ognia buchającego z czeluści stalowego komina.

Do upatrzonego przez się miejsca przybyli w godzinach południowych. Maksym, idąc pod górkę, z zaciekawieniem przypatrywał się okolicy, szukając czegoś, czego nigdy dotąd nie spotkał, a mianowicie rodzinnego miejsca. Im dłużej wpatrywał się w okolicę, tym bardziej, jak mu się zdawało, ponosiła go odraza.

Przed nimi, wroźległej, zieleniejącej się dolinie, czerniały cerkiewne kopuły, obok których wzdłuż wąskich uliczek, ciągnących się aż do grabowego zagajnika stały wśród rzadko rozsianych drzew małe domki okraszzone tu i tam chatką o słomianym dachu.

- O, tam pod laskiem podwiedzona czarnym pasem stoi nasza chatupka - rzekła nagle rozpromieniona Faurona. Pośpieszmy się, chcę tam być jak najprędzej - dodała pociągając Maksyma za połę. Za niedługą chwilę wręku dziewczyny zabłysnął staromodny, żelazny klucz. Zgrzytnął stary zamek i za uchylonymi dębowymi drzwiami ukazała się maluchna sień. Pierwsza do wnętrza weszła Faurona, naciskając klamkę, otworzyła

schludną izdebkę. Honorowe miejsce w niej zajmował stół przykryty białym obrusem i kilka składanych krzesel. Pod oknem otulone puszystym, rudym kocem bieląło druciane łóżko, a tuż pod niskim sufitem, na głównej ścianie, obok ołtarzyka, wisiał obraz świętego Jura. Swoistego uroku dopełniała podłoga z ubitej gliny posypana złocistym piaskiem.

- Ładnie tu - rzekł pochlebnie Maksym. Słyszając to, gospodyni pokraśniała.

- Siadaj, przygotuję herbaty - rzekła. Maksym wistocie urzeczony urokiem schludnie utrzymanej izdebki usiadł posłusznie, patrząc przez małe okienko na chwiejące się gałęzie drzew rosnących za rogiem chaty.

Pod kuchnią wesołym płomieniem buchnął ogień. W kilka minut potem, siedząc przy stole, oboje popijali kminkową herbatę. Maksym, ciekaw Faurony bogactwa, w międzyczasie zapytał, skąd doszła bądź co bądź do takiego majątku.

- Długa to historia i nie ma o czym mówić - odrzekła. Co to za majątek, parę koszul i innych łaszków, a chałupka i to, co w niej widzisz, to po nieboszczce, Boże świeć nad jej duszą, umierając powiedziała przy sąsiadach Żaleskim i Tulibabie, że chałupę i to, co się w niej znajduje, darowuje mnie za to, że przez ostatni rok, opiekowałam się nią. Wszystko zostało wciągnięte na papier i podpisane przez nieboszczkę krzyżkami, a żywym słowem poświadczone przez wspomnianych sąsiadów. Inaczej mówiąc został spisany testament - dodała. Nie spodziewałam się tego od obcej staruszki, dlatego też byłam tego dnia roztrzęsiona. Nie mniej żałośnie wyglądali świadkowie, myślałam, że to żal za staruszką to sprawił; okazało się wkrótce, że była to z ich strony wstrętna i złośliwa zazdrość. Próbowano mnie oszukać wzywając do oddania im testamentu - gdyż staruszka mogła przed zgonem być niespełna rozumu i gdybym się ugięła pod naciskiem obydwu bogatych sąsiadów, dzisiaj w domku tym siedziałby kto inny.

- A co z testamentem? - zapytał ponownie Maksym.

- Mam go przy sobie. Trzymam go niczym relikwie - odrzekła. Na takich i innych zwierzeniach ubiegła im reszta dnia. Wieczorem Maksym, rozglądając się po izbie, poprosił o wiązkę słomy lub siana, jeśli takie ma na stryżku.

- Po co? - zapytała. Chciałbyś się położyć? Będziesz spał w łóżku.

- Jakże to, widzę tylko jedno łóżko - rzekł zdziwiony młodzieniec.

- Nie martw się głuptasku, zmieścimy się oboje - zbliżając się do niego - szepnęła.

- Faurono, po ślubie tak, a do tego czasu będę spała na strychu. Cóż by ludzie powiedzieli? - odrzekł.

- Jeśli uważasz, że tak będzie lepiej, skoczę po słomę - i zanim Maksym zdołał unieść się z krzesła, Faurona z wiązką słomy zjawiała się z powrotem w izbie, mówiąc - masz, kiedyś taki, śpij na niej aż do ślubu. Czując się urażona, zdmuchnęła lampę, by za chwilę ułożyć się wygodnie w łóżku i jeszcze długo patrzeć na rozpostarte na słomie ciało Maksyma.

O świcie obudził ich uliczny ruch. Razem z odgłosem dzwonu wzywającym na Aniol Pański wyszli z domu, podążając w kierunku fabryki tytoniu. Idąc, Faurona ciągle pouczała Maksyma, jak winien się zachować u kierownika sortowni.

- Jeśli wezwie cię przed siebie - ciągnęła - uklonisz się głęboko, a kaszkiet trzymaj w ręku, nie tak jak inni pod pachą. Obiecał, że cię przyjmie.

- Ano dobrze, byleby coś innego nie zaszło, bo to u panów jest we zwyczaju zapominanie o tym, co się wczoraj przyrzekało - rzekł Maksym.

- Ten jest inny, u niego słowo to honor - wyjaśniła Faurona.

Niebawem przed nimi zaczęła fabryczna brama.

- Zaczekaj chwilę, idę cię zarekomendować - zawołała znikając w długim korytarzu. Maksym, przeszedłszy bramę, mimo woli znalazł się w obszernym przedpokoju. Niebawem Faurona, skinawszy głową, szepnęła:

- Wejź i okaż się mężczyzną. Poprawiwszy kapotę i włosy, ruszył za nią. W obszernym pokoju oślepił go blask lamp zwisających nad czereśniowym biurkiem, za którym rozparty w szerkim fotelu siedział ponad czterdziestoletni, o obrzękłych policzkach mężczyzna.

- Macie jakoweś papiery? - zapytał nagle Maksyma.

- Jeno mentrykę łaskawy panie - kłaniając się po raz któryś odpowiedział przybyły.

- Mało, ale więcej jak nic - biorąc od Maksyma pożółkły papier - odrzekł kierownik. Wasza znajoma ręczy, że jesteście uczciwy człowiek, no i w robocie solidny. U nas pracują tylko tacy - ciągnął. Zresztą zobaczymy - dodał po chwili. Zaprowadził go do sortowni i oddał pod rękę Kruszyńskiemu, a gdy załatwisz, wracaj tu z powrotem - przykazał Fauronie.

- Udało się - szepnęła, gdy znaleźli się na dziedzińcu fabrycznym. Spodobałeś mu się. Na początku zarobisz niewiele. Zresztą, moja w tym głowa, by ci się krzywda nie działa. Przyrzekł, że mniej od półtora złotego dziennie nie będzie, a to zawsze coś, w każdym razie o wiele więcej jak obiecał Semeniuk - dodała.

- Nie wiem, czy podolałam tej robocie - odezwał się ponuro Maksym.

- E tam, święci garków nie lepią - odparła na pocieszenie.

Niebawem znaleźli się w dość obszernej hali produkcyjnej.

- Przyprowadziłam nowego pracownika - zawołała do majstra, jednocześnie nachylając się nad nim, szepnęła: - To kierownika protegowany.

- Dobrze wiedzieć, źle mu tu nie będzie - odrzekł Kruszyński - byleby chciał rzetelnie pracować. - Jakże wam na imię? - zwrócił się zapytaniem do Maksyma. Ten zaś, otwierając usta do odpowiedzi, nagle ogromnie raz i drugi kichnął, bowiem drobinki ulatniającego się tytoniowego suszu zakręciły mu w gardle i w nosie.

- Oj, jak na początek, to nieźle - rzekł Kruszyński. Dzisiaj nie za wiele będzie z niego pożytku, z czasem jednak przyzwyczai się - dodał. Faurona, zakręciwszy się na pięcie, zawołała:

- Wracam do swej roboty, a temu na imię Maksym.

## ROZDZIAŁ XIV

**K**oldun umęczony wichurą, grzęznąc po pas w śniegu, do domu przybył nad ranem.

- Ażeby ich zaraza wydusiła, ażeby swoich dzieci oglądać nie mogli za moją poniewierkę i strach - kładąc się na ławę - zlorzeczył.

Nie śpiąc wsłuchiwał się w szumiący za oknami wiatr, niosący ciągle jak mało kiedy śnieżną zadymkę. Dręczyła go myśl, czy nie zostawił za sobą jakowych śladów. Ponadto obawiał się, co z Kiryłosiem, uciekł, czy go pojмали. Uff, nie daj Boże, żeby go chwycili. Wydusiliby z niego, co i jak, wówczas bądź zdrów rodzinna chato. Po chwili zmęczenie go zmogło, naciągnął więc na się kożuch i zasnął. Niedługo jednak przyszło mu odpoczywać, bowiem któryś z chłopców sąsiada biegnąc obok domu wołał:

- Policja idzie! Zatem Koldun w jednej sekundzie znalazł się przy oknie, naciągając na nogi długie, skórzane buty i, nim by kto naliczył do dziesięciu, był obuty i odziany. Wybiegł za stodołę, skąd jak na dłoni widniała krzyżówka kilku ulic, z której wysunął się dwuosobowy patrol granatowej policji. Szli pod górkę, strzepując od czasu do czasu z peleryn puszysty śnieg, wyglądało, że pilnie obserwowali gospodarstwo sołtysa. Tam też niebawem weszli.

- O, to coś nowego - albo szarwark nowy, albo węszyć przyszli - pomyślał Koldun, przyjmując postawę wartownika. Sterczał, marznąc za stodołą ponad godzinę. Do izby wrócił, gdy tamci opuściwszy mieszkanie sołtysa, zeszli w dół ulicy.

W tym czasie w Sadach wrzało od plotek, wijących się wokół aresztowania Kiryłosia. Nikt bowiem nie wierzył, by ten czymkolwiek i komukolwiek się sprzeniewierzył, tym bardziej politycznie, o co podobno go posadzono, zabierając do więzienia.

Starszyzna cerkiewnego bractwa od tego wydarzenia, wzmagając szczególną czujność, zaprzestała na pewien czas otwartych zebrań na plebanii nawet pod pozorem, jak dotychczas bywało, lania woskowych świec do ołtarzy. Między innymi i Semeniuk czuwał dniem i nocą. Czując się wiernym bratem cerkwi, mimo to przez kilka ostatnich niedziel nie uczestniczył w nabożeństwach cerkiewnych ani też nie odwiedzał plebanii. Niepokój trwał przez kilka długich tygodni, a gdy z wolna przycichały krążące plotki, do Sadów wracał dawny spokój. Semeniuk po

staremu począł wyzywać najmita, wytykając mu, że zaniedbuje się w pracy przy obejściu żywego inwentarza. Którejś niedzieli, ciekaw ludzkich spraw, po nabożeństwie udał się na plebanie.

- Nareszcie pokazałeś się, miły druhu - zagaił na powitanie ksiądz paroch. W głębi komnaty, wtulony w głęboki fotel, siedział mężczyzna z opuszczoną głową i gdyby nie wstał na powitanie, Wasyl uznałby go za nieznanego. Mężczyzną tym okazał się Mikieta Medwed.

- Wyglądacie teraz bez wąsów jak młodzieniec - potrząsając Mikiety ręką - rzekł Semeniuk.

- Ano trudno, trzeba i bez wąsów służyć naszej matce ziemi - odrzekł Medwed, odwzajemniając się potrząśnięciem ręki Wasyla. - Policja czasu nie mamuje, ciągle i wszędzie węszy, dlatego należy robić wszelkie uniki, ażeby ich przechytrzyć - dodał.

- Nie wywołuj wilka z lasu, nie jest aż tak źle - rzekł uspokajająco ksiądz paroch, zresztą cerkiew to terytorium neutralne, tu nie odważą się węszyć.

Semeniuk, słuchając niepocieszających wypowiedzi z ust starszyny, posmutniał. Wszystko może się zdarzyć.

- "Ach, co by to się stało, gdyby mnie pojмали - żegnaj się druhu z gospodarką" - myślał. Te i podobne dyskusje jak dzisiaj napawały go ogromnym niepokojem, mimo to z dużą ciekawością przysłuchiwał się niektórym wywodom, a szczególnie Medwedowi, który wprost rozkoszując się, relacjonował przebieg budowy bunkrów podziemnych na terenie hleszczawieckich pól. Wysłuchawszy najistotniejszych danych, paroch mając na uwadze przestrogi Mikiety, zdecydował zakończyć dzisiejsze obrady, przykazując jednocześnie przez najbliższe tygodnie nie podejmować brackich spotkań i zebrań na podległym im terenie, niwelując tym podejrzenia przeciwnika, jakim dla wiemych cerkwi braci byli - Lachy.

- Niczego dobrego się nie dowiedziałem - wracając do domu rozmyślał Wasyl. Ocucił go głos Anastazji, która zoczywszy go na obejściu, chybcikiem zawołała: - O, dobrze, że wreszcie jesteś. Kum był, na wesele prosił. Córnę za mąż wydaje, znaczy się twoją chrzestnicę.

- A niech wydaje, co nam do tego. Nie pójdziemy, pieniędzy szkoda i czasu - odrzekł szorstkim głosem.

- A co ludzie powiedzą? - zapytała Anastazja.

- Gwiżdż na ludzi - powiedziałem, że nie, to nie.

- Najmit zapowiedział, że odejdziesz, jeśli mu nie wyrównasz do pierwszego.

- Widzę, że całkowicie zgłupiałaś, wtrącasz się do nie swoich spraw. Sam wiem, kiedy mam mu wypłacić. Koniecznie chcesz, abyśmy

z torbami poszli - wrzasnął.

- Bo chłopak bosi i prawie nagi. Onucami nogi owija, a z grzbietu oblatują ostatnie łachmany - nie widzisz tego? - rzekła rozrzewnionym głosem.

- Nie rozczulaj się nad nim, on tobą się nie przejmuje, że nie masz zdrowia. Nie mów mi więcej o nim, bo go jeszcze dzisiaj wypędzę - wycedził przez zęby. Mimo woli spojrzawszy w okno - zawołał: - Chryste! Błacharze! Chwycił za kozuch i baranicę, wyskoczył za stajnię, skąd mając dobre pole widzenia, pilnie obserwował kroczących drogą policjantów.

Kałyna, widząc bojaźliwe roztargnienie gospodarza, sam popadł w niepokój, podszedł więc ku gospodyni, pytając: - Co się przydarzyło, że gospodarz ukradkiem za węglem stajni stoi na zimnie?

- A Hospod jego wie. Calusieńki tydzień chodzi jak na szpilkach. Idy, detyno, zobacz, jak on się tam miewa.

- Burek, do budy! - zakrzyknął najmit, wyzierając za wchodzącym patrolem policji do Dyndałów. Widząc to Wasyl wrócił do izby.

- Dlaczego na widok mundurowych wybiegłeś za stajnię? - zapytała Anastazja.

- Stara to historia. Zznałem niegdyś fałszywie do protokołu. Wiesz, wtenczas co to nam konie uprowadzono ze stajni, ciągle myślę o tym, że sprawa wyszła na jaw i chcą mnie przymknąć. Zznałem wówczas, że mi je ukradzono ze stajni, zapomniawszy, że w przeddzień uwiązałem je do kółków na pastwisku - zełgał.

- Przecież znalezienie koni zgłosiłeś - rzekła uspokajająco Anastazja.

- Wierzysz im? Inaczej mówią, inaczej czynią. Sam czort by się na tym nie poznał. A słyszałaś, że na dniach w sądzie odbędzie się rozprawa Kiryłosa i co mówiono, że mu nic nie będzie, że go puszcza wolno, bo jest wprost niewinny - rzekł czerwieniąc się z uniesienia.

- Słyszałam, że jego wiemi druhowie zbierają datki dla adwokatów, należałoby dać coś od nas - napomknęła Anastazja.

- Coś ty! Ciężko mi na podatek zebrać grosza, a ty myślisz o adwokatach - nic nikomu nie dają, rozumiesz - huknął Wasyl. Wprawdzie przez kilka następnych dni czuł się nieswojo, że to w biedzie opuścił przyjaciela - powetuję przeto na "Dzwinok" - myślał. Poza tym za każdym razem w niedzielę lub święto, będąc w cerkwi, nigdy nie zapomniiał złożyć na tacę mniej od pięciu groszy, a to dwa kurze jajka. "Zresztą, kto dłużej z wiemych służył u Petlury, chyba jedynie ksiądz paroch i Medwed z Hleszczawy, kiedy inni w tym czasie kryli się po zagajnikach, zapolach, w kopicach siana czy sitowiacz nad rzeką - ja walczyłem do końca" -

rozmyślał.

Któregoś dnia w Sadach rozbiegła się wieść, że Kiryłoś w sądzie za przynależność do nacjonalistycznej organizacji ukraińskiej został skazany na osiem lat więzienia. Sadowianie, bolejąc nad nieszczęściem, postanowili przez czas jego więzienia pomagać mu w utrzymaniu kilkumorgowego gospodarstwa, pocieszając żonę, że może amnestia, dobre sprawowanie lub wojna spowoduje skrócenie odsiadki, nie zasłużonej kary. Mimo różnicy zabiegów Kiryłosiowej rychło nie przywrócono równowagi życiowej. Nawet ksiądz paroch tknięty żalnością, z okazji kolęd postanowił ją odwiedzić i pocieszyć. Czyniąc cerkiewny obowiązek, jakby przez zapomnienie pominął dom młodego Semeniuka, z czego niebawem powstały płoteczki i pomówienia. A to, że Janek od jakiegoś czasu nie uczestniczy w nabożeństwach cerkiewnych, nie przystępuje do spowiedzi, a co najistotniejsze, nie wpisał się do bractwa. Mimo że ogół za ten stan rzeczy czynił winnym starego Semeniuka, z wolna jednak wokół jego niedawnych jeszcze przyjaciół wkradł się cień niewiary. Uczynionym przez księdza parocha afromentem młody Semeniuk zbyt się nie przejął. Od lat znał nabożność księdza Martyluka. Znał jego stosunek do pracujących na niego i jego rodzinę służących i najmitów, słyszał o jego troskach o chorych i niedołączonych, szczególnie niemających, toteż niejednokrotnie przy różnych okazjach mówił swej młodej żonie, wskazując na żywe i nie zmyślane, często nieludzkie postęпки parocha, że to niby ksiądz ale wżuty z wszelkiego człowieczeństwa.

Młody Semeniuk dzięki ojcu pozbawiony ziemi zmuszony był zatrudnić się poza rolnictwem, przyjmując na kolei żelaznej posadę sezonowego robotnika. W nowym środowisku niebawem też go połączono. Zarabiał niewiele, lecz nie narzekał. O inną pracę było w tej okolicy trudno lub wręcz niemożliwe. Początkowo pomagał ustawiać zasłony przeciwniegiowe, niekiedy odkopywał zawiane śniegiem tory, czasem pchał wózek pełen szyn i podkładów drewnianych ciosanych najczęściej z dębowego drewna, niekiedy też ustawiał szyny, zwrotnice lub całe rozjazdy. Po pracy zmęczony lecz wesoły wracał do domu, przeznaczając resztę dnia na pomoc w Michalskiej obejściu. Niedziele i święta poświęcał czytaniu książek lub gazet. Niekiedy odwiedzała go matka Anastazja, przynosząc gościnnie za pomoc przy żniwach i wykopkach, jaką młodzi Semeniukowie nieśli rodzicom bez wiedzy Wasyla, bowiem Wasyl ciągle tkwił przy swoim, ale da Bóg, że kiedyś znowu będziemy żyć pod jednym dachem - mawiała Anastazja, pocieszając siebie i Janka.

- Gdyby ojciec żył własnym rozumem, nie słuchając porad

świętobliwego parocha i innych wichrzycieli ludzkiego porządku i spokoju, wyglądałoby inaczej - tłumaczył Janek matce.

Powoli mijał mroźny tydzień, nastaly dni odwilży. W pierwszy wtorek miesiąca, już w rannych godzinach Wasyl, wrzuciwszy na wóz zaworkowaną pszenicę, ruszył z Kałyną do miasta. Jak zawsze, tak i tym razem, zatrzymał się przed Aszkienazym, oddawszy lejce najmitowi, wszedł do niskiej sieni małej chatki krytej snopkami żytniej słomy.

- Nu, nu, dzień dobry panu gospodarzowi - wychodząc naprzeciw - zawołał Icek. Z czym dzisiaj gospodarz do mnie przyjechał? - zapytał.

- Pszenicę przywiozłem - odpowiedział Wasyl, po czym po kilku handlowych zakłęciach i kilkukrotnym kłaśnięciu w dłońe dobito targu, potwierdzając wypiciem po dwadzieścia pięć gram szabasówki. Kałyną, przypatrując się temu, a szczególnie znikającym w kamizelce gospodarza srebrnym monetom, widział już siebie w nowym ubraniu.

- Dobre Żydzisko - popędzając konie - rzekł półgłosem Wasyl. Mało jest takich, żeby zapłacili za zboże i szabasówką poczęstowali.

- Oj to, to dobry - odrzekł Kałyną, siedząc jak przystało najmitowi za plecami gospodarza.

Wypoczęte przez zimę konie szły wartko, mimo to Wasyl w okolicy Potoków trzepnął mocniej lejcami, wyprzedzając zdążającego pod Koroluchę Hnatiuka.

- Żle to wróży. Czego on się tu pęta? Czyżby go wypuścili? - mruzczał - Ale wpadłem w paskudny interes. O właśnie, tak mnie mówiła niegdyś Anastazja, żebym się do podobnych spraw nie mieszał.

Jak mało kiedy popędzając konie, niczym wichur, przejechał wąskie ulice Sadów, zatrzymując się na świeżo obmieconym ze śniegu własnym podwórku.

- Hospody! Co się stało? - zobaczywszy zziębnięte konie i zdenerwowanego Wasyla - zawołała Anastazja.

- Bo diabła zobaczyłem - odrzekł złośliwie gospodarz.

- Czyś ty niemądry, w biały dzień "nieczystego" widziałeś? - żegnając się po trzykroć - zapytała. Oporządź konie i do izby przychodź, barszcz na misce, Kałynę też wołaj - dodała.

Po obiedzie najmit, jak co dzień, wyszedł przygotować paszę dla koni, bydła i świń, wtenczas Wasyl, przysunawszy się bliżej gruby, rzekł półgłosem:

- Hnatiuka widziałem, szedł pod górę jakby z ciężarem jakim, do tego ciężko zadumany. Nie odzywam się do niego, bo to z nim świń nie pasłem - idzie, to niech idzie sobie - pomyślałem.

- Pewnie go wypuścili - szepnęła tajemniczo Anastazja. Jednak

Bóg jest dobry. Cała rodzina czekała na niego. To uczciwy człowiek, nigdy nikomu nie zaszkodził - sąsiedzi nachwalić się nim nie mogli - ciągnęła Anastazja.

- Dałabyś spokój z jego dobrocią i mądrością. Owszem, może dla siebie, nie przeczę, ale dla innych? - mruknął Wasyl wychodząc do stajni dopatrzeć inwentarza.

Kałyna, spotkawszy się z gospodarzem w stajni, odważył się upomnieć o nie wypłaconą należność. Semeniukiem zatrzęsło. Twarz posiniała, oczy omal nie wyszły z orbit. Wrzasnął: - Ty hyclu! Śmiesz mnie, gospodarza cieszącego się najlepszą opinią w okolicy nagabywać o pieniądze? Lituję się nad tobą, żywię przez całą zimę, a żresz za czterech. Dziękuj Bogu, że masz ciepły kął w stajni, a nie wydziwiał. Myślisz, że pieniądze sypią mi się z rękawa? Jeśli jeszcze raz otworzysz w tej sprawie gębę, wypędzę cię wśród zimy na cztery wiatry.

Kałyna, przerażony krzykiem gospodarza, zabierając ze swego wyrka nieduże zawiniątko, wybiegł ze stajni wprost na ulicę pełną srebrzącego się śniegu. Idąc w kierunku miasta, wsłuchiwał się we wrzask wron i srok wygłodniałych, chybotających na wierzchołkach nagich drzew. Znalazłszy się przed poszarzałą kopułą trembowelskiej starej cerkwi, przystanął na chwilę, otrzepawszy z ubrania kłapcie śniegu, wszedł do bramy plebanii.

- Wy do kogo? - usłyszał głos dziewczęcia.

- Ja? - odwracając się zapytał.

- Właśnie wy - dodała Marijka.

- Do księdza parocha chciałem, proszę panienki - mnąc w rękach czapkę - odrzekł.

- A kto wy taki? - przyglądając się młodej lecz brudnej i obdarłej postaci - nacierała nadal.

- Do dzisiaj byłem najmitem u Semeniuków w Sadach. Przed godziną odszedłem stamtąd.

- A wiem, wiem, u tego, co to syna przegnał od siebie - rzekła Marijka.

- Nie wiem, czy przegnał syna. Mnie przepędził, gdyż upomniałem się o swoje zarobione u niego grosze. Przyszedłem tu, bo na służbę do Semeniuka skierował mnie otec paroch.

- A co zamierzacie robić wśród zimy, gdzie pójdziecie? - zapytała.

- Nie wiem - opuszczając głowę odrzekł Kałyna.

- Idźcie, jeśli wam pilno, paroch jest u siebie - otwierając drzwi na pokoje - rzekła Marijka. Za chwilę okryty łachmanami, wynędzniały młody człowiek stanął przed bogobojnym obliczem księdza Martyluka.

- Co cię do mnie przygnało? - zapytał ksiądz paroch.

- Bieda, otcze, służbę straciłem - trzęsąc się z zimna i strachu - odrzekł Kałyna.

- Służbę straciłeś? O, to coś gorszego, pewnie nabroiłeś sporo, kiedy Semeniuk cię ze służby wydalil.

- Nie otcze, nie nabroiłem ani też gospodarzowi nic złego nie uczyniłem. Upomniałem się o zapłatę za przepracowane lato i jesień. Gospodarz rozsiardził się tym wielce i kazał mi iść z domu, więc poszedłem.

- Niedobrze zrobiłeś, odchodząc stamtąd. Ludzie to nieźli. Chciałeś, by cię za obrazem trzymali. Znam Semeniuka, dobry to człowiek i uczynny. Niczyjej krzywdy nie chce. No cóż, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz - ciągnął paroch. Idź, przeproś gospodarza, może pozwoli ci dozimować, bo dokąd pójdiesz, kto cię przyjmie o tej porze, to nie żniwa. Zresztą wszyscy jesteście jednakowi, wiem, co robią moi najmici, gdyby mogli w jedną godzinę obdarłoby mnie z majątku i ze skóry.

Kałyna wpatrzony w podłogę przyścieloną brunatnym dywanem, głęboko westchnąwszy, powiedział: - Kiedy tak, muszę więc iść, gdzie mnie oczy poniosą. Poza tym otcze, mam prośbę, oddajcie tę kurtkę Semeniukowej - dała mi ją tymczasem, bo to z jej syna - mówił, stawiając stary i mocno sfatygowany łach na najbliższy fotel.

- Powieś to na parkanie, robactwa mi tu napuścisz - zakrzyknął ksiądz.

- Niech wam Bóg zapłaci za wszystko - odrzekł złamanym głosem Kałyna, wybiegając na korytarz, a stamtąd na dziedziniec ku bramie.

Przy furcie czekała Marijka. Żegnając go skinieniem głowy, szepnęła:

- Przyjdźcie tu wieczorem, dam wam nieco lepsze okrycie, buty i trochę wiktuałów na drogę - a gdy tamten bez słowa przeszedł furkę, powtórzyła: - Pamiętajcie, czekam wieczorem.

Kałyna przytłoczony własnym złym losem nie dosłyszał słów Marijki, podniósł łachmanowaty koinierz i ruszył przed siebie. Przez kilka godzin bezwiednie krążył ulicami miasta. Pod wieczór widziano go na krowinieckiej szosie. Nazajutrz za stacją kolejową "Zielona" drwale, idąc do pracy obok toru, znaleźli człowieka w zamrożonej krwi, na pół przeciętego kołami pociągu.

Denatem okazał się Kałyna podążający do swej rodzinnej wsi, zamierzając przebyć resztę zimy. Krytycznego dnia strażnik pilnujący mostu kolejowego widział idącego wzdłuż toru pod górę człowieka zostawiającego za sobą przekleństwa, z których najwyraźniej można było rozróżnić słowa: "bestie", "bestie".

## ROZDZIAŁ XV

**W** fabryce tytoniu, jak zwykle od lat, wszystko szło swoim trybem, toteż Maksym niespodziewanie szybko przyswajał sobie arkana pracy z jednoczesnym oswojeniem stabilnego środowiska. Niewiele wprawdzie zarabiał, więcej jednak jak do niedawna u wiejskich gospodarzy. Wieczory i wolne dni od pracy spędzał w domu, marząc o nowych mebelkach do izby, o kupnie paru skib ziemi i wreszcie o ślubie z Fauroną. Często jej wymawiał, że żyją na wiarę, a tak nie można, bowiem ludzie patrzą. Tymczasem Faurona, znając dogłębnie życie miejskie, wstrzymywała go w swych postanowieniach, mówiąc pieśczołliwie:

-Ej, Maksymie, jakbyś ludzi nie znał, nie przejmuj się nimi, pysków im nie pozamykamy - do mówienia zawsze coś znajdą. Myślisz, że po ślubie zostawią nas w spokoju, a skąd, na nowo będą wypatrywać, czy w ciąży jestem, czy siniaków pod oczami nie noszę, czy łachy na grzbiecie jako tako i tak dalej, i tak dalej, mój kochany.

Któregoś dnia kierownik fabryki, przykazując Fauronie stawienie się u niego w biurze, poinformował ją, że zamierza wysłać Maksyma na parę dni do trembowelskiej sortowni tytoniu. Pojadą we dwóch po towar. Wysyłam go, bowiem zna tamtejsze okolice, a trzeba się będzie sprawić z noclegiem i zabezpieczyć przed złodziejaskami tytoniu - dodał patrząc w rozpromienioną twarz młodej dziewczyny. Ona, opuściwszy powieki, rzekła ledwie dosłyszalnym głosem:

- Cóż, jeśli tak trzeba, niech jedzie, jaśnie panie.

- Wiedziałem, żeś rozsądna dziewczyna. Powiedz mu, żeby był gotowy jutro na popołudniowy pociąg. Pojedzie z Pankowskim. Teraz biegnij i sprowadź go tutaj.

Faurona, przykrywszy lokami poczerwieniałą twarz bez słowa skargi pośpieszyła do sortowni, tam poruszona kobiecą ambicją naprędce jednak oznajmiła brygadziście, że z polecenia kierownika Maksym i Pankowski mają niezwłocznie stawić się w dyrekcyjnej kancelarii.

Kruszyński, zerknąwszy na zgrabną kibić Faurony, w mig wykonał polecenie kierownictwa, nakazując Maksymowi natychmiastowe stawienie się w biurze sortowni. Maksym czym prędzej wytarłszy ręce w wiszącą na drzwiach szmatę, drobnym truchcikiem pobiegł do kancelarii.

- Wielmożny pan mnie wołał! - zagaił, gdy stanął w jasno oświetlonym pokoju.



- Tak, mam dla was specjalne zlecenie. Pojedziecie jutro popołudniowym pociągiem razem z Pankowskim do Trembowli. Roztropny to człowiek, będzie wam w drodze pomocny. Posyłam was, bowiem znacie tamtejsze okolice, a jedziecie po towar.

- Dziękuję za zaufanie, łaskawy panie, będę na oznaczony czas gotowy, nie zawiodę. Praca tu, praca tam - odrzekł Maksym. Miejscowość tamtą znam niezgorzej, chociaż znajomych mam niewielu - dodał.

- Tym lepiej, tym lepiej - wtrącił się kierownik. Dzwoniłem do tamtejszej składnicy, że jutrzejszą nocą tam będziecie, a w razie potrzeby wpuszczą was do wnętrza, żeby nie marznąć na dworze. Za godzinę przyjdźcie obydwaj po upoważnienie.

Stuknięcie palcami w szkło położone na stole oznaczało koniec rozmowy, w związku z czym Maksym na w pół zgięty wycofał się za drzwi, gdzie nałożywszy roboczy kaszkiel śmieiej zaciągnął się podwórzowym powietrzem, idąc na stanowisko pracy Pankowskiego oznajmić mu, że za godzinę ma stanąć przed panem kierownikiem po delegacyjne papiery. Zgodnie ze służbowym przykazaniem Maksym z Pankowskim w podróż roboczą wyruszyli w dzień następny w godzinach popołudniowych. Zajawszy miejsca w ogrzonym wagonie, w przedziale trzeciej klasy czuli się wybornie. Wsłuchani beztrósko w szum wzmagającej się śnieżnej zadymki oraz miarowego stuku kół rozhuśtanych wagonów, liczyli nikle oświetlone naftą przystanki kolejowe. Mimo to, gdyby konduktor przed docelową stacją nie zawołał: Trembowla! kto wie, czy nie wysiedliby dopiero na Zielonej, gdyż, jak mało kiedy morzyli ich sen. Chwyciwszy za tobołki, w niespełna kilka sekund znaleźli się na peronie przysypanym sporą warstwą świeżego śniegu. I co? Gdzie się teraz podziejemy wśród nocy? - zapytał Pankowski.

- Zobaczmy - odrzekł Maksym.

- Jak to zobaczymy, przecież jesteś tutejszy, więc o nocleg nie będzie ci trudno - podchwycił Pankowski.

- Jaki ja tutejszy? Najmitem tu niegdyś byłem, o tam, na prawo, gdzie błyszczą cerkiewne banie - odparł Maksym, trzymając pionowo wyciągniętą rękę.

- Kościelnym byłeś? - zapytał dziwnym głosem Pankowski.

- Gdzie tam, kościelnym - mówiłem, że najmitem. Przy tej cerkwi znajduje się gospodarstwo rolne, jakiego najbogatszy dziedzic by się nie powstydział - ciągnął Maksym. Jest tam z górą dwieście mórg ziemi omej, a lasu drugie tyle. Wszystko to parocha. Wątpię, czy on wszędzie trafiłby na swój grunt, bo jego parobki trafiają wprost po omacku. Wydaje mi się, że było to bardzo, bardzo dawno - przytykając oczy, powtórzył - tak, było

to bardzo dawno. Powiedziało z taką energią, że stojący obok towarzysz podróży, wzięwszy go za ramię, wyrzekł: - Widzę, bracie, że niemalą gehenną tam przeżyłeś, kiedy na samo wspomnienie głos ci się zmienia, a oczy świecą jak u kota.

- Tak, przeżyłem tam, przeżyłem. Kto najmitem nie był, ten nigdy nie dozna smaku nędzarza, pełzającego u nóg swego pana, upatrując momentu, kiedy jest w nabożnym humorze, a kiedy w złym. Wszystkiego tam zaznałem i głodu, i chłodu, jak mówi przysłowie, a com batogów dostał, tylko jeden Bóg może zliczyć. Nawet podczas snu zbierałem cięgi, jeśli władzy przyszło na myśl ulżyć sobie w ten sposób. Nie pomagał płacz ani żal. Nie było przed kim się uzalić. Jedyne bydetko współczuć by mogło, bo i ono często smagane rzęsistymi razami na pewno myślało jak i ja, że tak już być powinno na tym świecie.

Pankowski, patrząc na Maksyma, z zastanowieniem wyrzekł: - Niczym ksiądz jesteś wymowny, jak widzę, przeżyłeś, bracie, niejedno, przeżyłeś.

- Takich jak ja jest dużo, bardzo dużo - odrzekł Maksym.

- Wierzę ci, Maksymie, potwierdzasz opowiadania mojego ojca, niekiedy mówił o wprost nieprawdopodobnych sprawach, powiadał, że miesiącami chodził bez pracy, że za ziemniakiem szło się na pańskie, a często jak wrona za padliną szukało się tego lub owego na śmietniskach. Rodzina nasza wprawdzie duża nie była, ale i tę trzeba było wyżywić. Bywało, pamiętam tygodniami w domu brakowało chleba, cukru, ziemniaków, a nawet soli, nie mówiąc o omaście. Gdyby nie ta fabryka, gdzie ojciec nieboszczyk po ciężkich i długich staraniach cudem się dostał, a po kilku latach i mnie tam wepchnął, zmarnielibyśmy z głodu i nędzy jak wielu innych w okolicy.

Rozprawiając o swej niedoli, niebawem stanęli przed bramą okazałych magazynów surowego tytoniu.

- Zajdziemy na dyżurkę, przenocujemy na ławie - rzekł Maksym, pukając do bramy.

Wartownik, po uprzednim sprawdzeniu dokumentów, składających się z zaświadczenia o zatrudnieniu i upoważnieniu odbioru surowca, wpuścił ich do wnętrza wartowni. Jak przewidywano, miejsce na odpoczynek znaleźli na ławie ustawionej wzdłuż południowej ściany. Przez szczuple okienko padało jeszcze rześiste światło restauracji Fiszerza, od czasu do czasu też przenikał stamtąd głos fortepianu i skrzypiec.

- Tu każdej nocy takie hulanki - rzekł wartownik. Mają ludzie pieniądze. Ot co, takie życie, to życie, a nie jak nasze. Nigdy nie byłem

w takim lokalu. Z karczmarej nie porównasz. Jakie tam damy strojne, jacy panowie delikatni, że hej. Latem aż brzydko, tańczą na wpółnago - widać to przez otwarte okna - dodał.

Rozmawiając nie zauważyli, że na dworze robi się świt. Na podwórku zjawiał się średniego wzrostu mężczyzna, przypominający na pierwszy rzut oka urzędnika. Spojrzawszy na przybyłych - Maksyma i Pankowskiego - okiem władcy, zapytał, czy mogą zaraz przystąpić do przedsięwziętych obowiązków. Ubodło to przyjezdnych spodziewających się godziwego odpoczynku. Jednak bez słowa skargi zabrali się do sortowania i ładowania na wozy żółtawych liści tytoniu. Żmudna i odpowiedzialna praca trwała przez długie cztery zimowe dni. Wracając z towarem do Jagielnicy, każdy z delegowanych jechał na wierzchu załadowanego wozu i mimo służbowych kożuchów ziąb wstrząsał nimi jak mało kiedy przedtem. Kiedy wreszcie późną nocą stanęli z towarem w miejscu przeznaczenia, oddawszy materiał w ręce wewnętrznej służby, napędce oddalili się do swoich domów. Maksym szedł na przelaj. Jeszcze jedna wąska uliczka dzieliła go od zagrody. Już wśród zimowej nocy dostrzegł kontury ośnieżonego dachu, pod którym niby grzybek pod kapeluszem roslą mała chatka.

- Oczekuje mnie - szepnął zobaczywszy w oknie mżące, blade światelko. Wspiął się więc na palcach, zazierając do wnętrza. Nagle jakby rażony kółem, odskoczył zawiadając nogą o wystający kamień, który oderwawszy się od zamrożonej ziemi, uderzył o okienną ramę.

- Suka - szepnął. Toś ty taka? Po co więc przywiozłaś mnie tutaj? Żeby za moimi plecami kochać się z innymi? - mruknął zawracając ku zagajnikowi. Za chwilę potem usłyszał za sobą zgrzyt zasuw i słabe skrzypienie drzwi - jednocześnie wołania Faurony:

- Maksym, wracaj, nie odchodź. Tymczasem jakaś siła pchała go do przodu, byleby dalej od tego miejsca, byleby dalej.

Faurona, wypchawszy kochanka za drzwi z całej mocy pragnęła powrotu Maksyma, toteż mimo nocy kilkakrotnie półgłosem wołała go, by wrócił.

Maksym odszedłszy do niedalekiego zagajnika, począł chodzić po jego ścieżkach tam i z powrotem, nasłuchując wołania Faurony. Przed oczami przebiegły mu ostatnie dni spędzone w chatce, ostatnie dni nadziei. Chwilami nawet pragnął, by chociaż zawołała jeszcze jeden raz, wówczas kto wie? Może by tam jednak wrócił. Niestety wokół panowała głucha cisza, jedynie tu i tam puchacz lub sowa, siedząc nad kominem swym smętnym krzykiem dopełniały wrażliwości tej nocy. Dopiero donośny, fabryczny gong obudził go z zadumy. Podniósłszy spod młodej

osiki drobny węzełek, truchcikiem udał się do fabryki.

- Myślałem, że zaśpisz i nie stawisz się do pracy - powiedział Pankowski na widok Maksyma.

- O, wyspałem się aż nadto - wyciągając do przodu ręce odrzekł tamten. Człowiekowi niewiele trzeba. Trochę ciepła, spokoju i łyżkę zdrowej stawy - dodał.

Dzisiejszą powinnością było rozlokowanie i rozliczenie się z przywiezionego towaru. Zaangażowani bez reszty w konkretnym zajęciu nie zauważyli niezwykłego ruchu koło budynku kancelarii fabrycznej. Dopiero Pankowski, idąc tam z papierami trembowelskiego magazynu, usłyszał, że powiesiła się Faurona, jedna z pracownic tutejszej fabryki. Gdy wrócił, powtórzyło Maksymowi. Ten usłyszawszy to, zniemochomiał, opuścił mocno przybrudzony węzełek, patrząc bezradnie zamglonymi oczami na coraz to liczniej zbierającą się gromadę ludzi. Po chwili zerwał się i począł biec w kierunku bramy. Minąwszy ją pędził na skróty do swej chatynki, którą już od kilku dobrych chwil oblegało mnóstwo gawiedzi. Nie czekając na zaproszenie, gwałtownie roztrącił stojących gapiów, rzucając się na leżące obok ławy ciało.

- Faurono, Faurono - zawołał przeraźliwie.

- Taka ładna i taka dobra dziewczyna i taką sobie śmierć zgotowała - szeptał kobiety, dzieląc pomiędzy siebie sznur zdjęty z szyi denatki.

Niebawem do izby weszło dwóch funkcjonariuszy policji granatowej, rozpytując obecnych o przyczynę samobójstwa, a że nikt nie mógł pytającym czegokolwiek powiedzieć, poczęli tarmosić klęczącege ohok nieboszczki Maksyma.

- Kto wy dla niej? - pytali.

- Mieszkałem tu, a znałem ją od lat z innej służby - odpowiedział, patrząc w śniatwarz Faurony. Dzisiejszej nocy wróciłem z delegacji. Już z oddali dostrzegłem światło w izdebce. Podeszedłem do okna i zobaczyłem... ciągnął.

- Kogo zobaczyliście? Mówcie szybciej! - zakrzyknął jeden z funkcjonariuszy.

- Kierownika naszej fabryki - wystękał zrezygnowany Maksym.

- Co? Kogo? Czy dobrze słyszę, paskudniku? - wrzasnął któryś z policjantów, po czym mimo zapewnień obecnych, że znają Maksyma jako człowieka spokojnego, dobrodusznego i bogobojnego, który kury by nie zabił, nie mówiąc już o człowieku, założono mu kajdanki i powleczono ze sobą.

Pogrzeb Faurony odbył się na koszt gminy. Nikt nie zaśpiewał nad jej grobem nabożnej pieśni ani skropił święconą wodą, jedynie potem

zabłąkany wiatr niekiedy nucił jej rodzinną melodię, a któreś wiosny przyniósł nasienie białej brzozy, z którego z czasem wyrosło piękne, szumiące drzewo.

Maksym posadzony o spowodowanie śmierci swej dziewczyny, odsiedziawszy kilka lat niezasłużonej kary, wrócił w te strony, by między innymi na grobie Faurony od czasu do czasu złożyć bukiet polnych kwiatów, które za życia ogromnie kochała. Niestety nikt nie mógł wskazać miejsca, gdzie pogrzebano jej ciało. Wiedziano ogólnie, że na okopisku za cmentarzem, gdzie zwykle chowano nieochrzczonych, innowierców i samobójców. Często widziano Maksyma później siedzącego na przyzbie samotnej chatki, wpatrującego się w pobliski zagajnik i nieco oddalony pod górką cmentarz.

## ROZDZIAŁ XVI

**W** Sadach najstarsi ludzie nie pamiętali tak pięknej wiosny, jaka nastąpiła tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. Szybciej jak zwykle zakwitły czereśnie, wiśnie, jabłonie, grusze i śliwy, szybciej też przystąpiono do sadzenia ziemniaków, doglądając jednocześnie oziminy. Wśród wspomnianej przebogatej przyrody młodym Semeniukom urodził się syn, a że dniu temu patronował święty Bazyl, tak też nazwano ich pierwszą pociechę. Chrzcziny były radosne. Tradycyjnie w kącie obszernej sieni stał bękart piwa, zaś w izbie na stole przyprawiony czosnkiem wieprzowy studeniec. Ponadto dla gości nie lubujących się w smaku piwa podano domowy wiśniak zwany tu popularnie tata z mamą, biorący tę nazwę od tego, że napój ten pół na pół składał się z soku wiśniowego i bągu.

Mimo szczególnej wesołości i szczęścia w głębi duszy Janka czaił się smutek. Odczuwał brak matki i ojca. Wasyl nadal przeklinając utrzymywał, że z dziadowskim pomiotem kumał się nie będzie. Nadal żarła go złość niczym rdza stare żelazo. Niekiedy wracał myślami do najmitów, którzy go skrzywdzili, a szczególnie Kałyna, ale za to Bóg go pokarał, albo Faurona, czegoż jej u mnie brakowało? Poszła szukać innego szczęścia i co? znalazła go? I ją Bóg skarał za mnie. Chciałem, by mi synową była, lecz jej w głowie co innego świeciło. Przez nią pop nie zapisał mi pół woliczkiej góry. Tfu, co za głupia niezdara - medytował.

Któregoś dnia, urągając całemu światu sprawił, że dostało się i księdzu parochowi. Toteż czując, że zgrzeszył wobec cerkwi, w najbliższą niedzielę udał się na nabożeństwo przeprosić Boga i świętych. W dowód serdecznego żalu złożył w ofierze na tacę dziesięć groszy. Po nabożeństwie, wstąpiwszy na plebanię, jak zawsze, przed parochem wykladał swoje żale, a to, że ostatnio go siły opuszczają i robić na polu i w obejściu nie może, a że sąsiedzi nie są tak usłużni jak dawniej, nazywając przy tym Dyndałów diabelskim nasieniem, a Marcina od Melurów śmierdzącym pomiotem. Przybierając stan czupurnej zwierzyny, kto wie, do jakiego stanu by doszedł, gdyby nie weszła popadnia, prosząc dostojnego męża na świeżo ugotowany świąteczny obiad.

Wasyl, spojrzawszy na obraz święty wiszący nad ciężką makatką, zmitygował się, że znowu zgrzeszył.

- A może, Wasylu, źle się ze służbą obchodzicie? - podnosząc się

z krzesła zapytał paroch.

- Śmiałym ludziom krzywdę czynić, otcze? Czy mnie można o to posądzać? - odparł Wasyl. Mam już taką naturę, że jak nie przedam, to nigdy nie ujmę, chociaż nieraz należałoby temu i owemu łachudrze oberwać z umowy za zniszczenie inwentarza lub leniuchowanie. Ale moje dobre serce nie pozwala nikogo krzywdzić - dodał żałośnie Semeniuk.

- Wiem, wiem, miły druhu. Znam was nie od dzisiaj i nie powiem, żebyście najmitów źle traktował, jednak z Kałyną było coś nie w porządku - rzekł dobrodusznie paroch.

- Bóg świadkiem, otcze, że krzywdy u mnie nie miał. Wprawdzie odrobinę grosza mu zalegałem, a że odszedł, komu miałem go oddać. Bóg go pokarał za moją krzywdę, ale że paraduje już na innym świecie - muszę się z tym pogodzić.

- A z synem się widujecie? - zapytał nagle duchowny.

- Uf, wolałbym diabła zobaczyć, otcze - odrzekł Wasyl.

- Komu więc majątek zapiszecie, gdy was Najwyższy zechce powołać do siebie? - napomknął ksiądz.

- Po prostu uczynię, jak wielu innych, zapiszę na cerkiew.

- Zawzięty jesteś, druhu, pomyślcie, że macie wnuka, a podobny do was jak uł. Chrzciłę go - dodał paroch.

- Nie mój syn, nie mój wnuk, otcze. Trudno, jak sobie pościelił, tak się wyśpi. Z żebrakami zaczął, niechaj więc tonie. Kto to kiedy słyszał, aby rodzica nie usłuchać w tak ważnej sprawie jak ożenek - dodał rozżalony. Po kilku pożegnalnych słowach Semeniuk na wół zgięty wycofał się za drzwi. Idąc do domu, rozmyślał o najmicie obiecany przez księdza parocha, o dolinie, którą już kosić trzeba, to znowu o dachu na stodole, gdzie już od roku należało przelożyć grzebień i paazy. Zauważył, że ostatnio gospodarze tak mocniejsi jak i słabsi wręcz unikają go, nie szukają jak niegdyś gospodarskich porad. Nie wiedział, że zabobon sąsiedzki ruszył ku niemu. Nie wiedział, że zagrodę jego nazwano diabelskim siedliskiem, twierdząc, że nocą nad brzostami coś mruży i sapie, a niekiedy nad kominem tańczą złe duchy, ciągnąc ku górze tysiące isker. Niekiedy co pobożniejsze gospodynie, widząc Wasyla, czyniły znak krzyża. O krążących wokół starych Semeniuków nieczystych sprawach pierwsza zorientowała się Anastazja. Wziąwszy to sobie do serca, z każdym dniem podupadała na zdrowiu. Kto przed kilkoma miesiącami znał Semeniukową, nie poznałby jej teraz. Na poźółkłej twarzy błyszczwały głęboko wpadnięte oczy, wydłużając tym samym niegdyś kształtny nos i usta, a na spracowanych rękach ciągle powiększały się grube, sine żyły.

- Wiatr by ją porwał - mawiały sąsiadki. Ale kogo szatan oszczędza? Gdyby nie konszachty z "nieczystym", na pewno Pan Bóg łask swych by jej nie poskapił - plotkowały.

Ktoregoś poranka do wrót Semeniuka zakolatał nieznajomy człowiek.

- Znowu z samego rana kogoś diabli niosą - mruknął Wasyl, podążając do wrót. - A idźże do budy! - wrzasnął na ujadającego psa, zbliżając się do stojącego przed boczną furtką młodego osobnika.

- Dokąd to Pan Bóg prowadzi? - zapytał.

- Czy to wy jesteście Semeniuk? - usłyszał od przybysza uchylającego kaszkietu z na wół złamanym daszkiem.

- Tak, to ja - odpowiedział Wasyl, przypatrując się osobie niebywałego wzrostu.

- Podobno szukacie najmita. Paroch mnie przysłał.

- A, paroch, przybliź się człowieku, niech cię oglądnę, bo i nie przystoi rozmawiać w bramie o interesach - rzekł łagodniej Semeniuk.

Stojący za furtką przybysz chcąc otworzyć jedną stronę brzostowych wrót, nie zauważył skobła przeciągniętego przez masywną belkę nie pozwalającą na rozchylenie się zwartych ku sobie dwóch potężnych furt, toteż szarpnął raz i drugi, unosząc je za chwilę w jednym ręku niczym miotłę.

- Co za siła, co za siła - pomyślał Semeniuk; po chwili objawwszy wzrokiem czarną, nie ogoloną twarz, zapytał: - Mówisz, że cię paroch przysyła; a jak cię zwa?

- Nazywam się Medunka, a na imię mi Fedor - odpowiedział.

- Tęgo źreć musi taka figura, ale pewnie i w robocie starczy za dwóch - pomyślał Wasyl. Tym razem szybciej jak zwykle zgodził nowego najmita, który też szybciej jak inni zadomomowił się u Semeniuków. Następowo obupólne zadowolenie. Gospodarz, widząc, że nowemu najmitowi robota wprost się pali w rękach, pozwalał mu na podejmowanie niekiedy samodzielnych decyzji, tamten odwzajemniając się, pilnował gospodarstwa jak własnego. Wprost zadziwiał Semeniuków, że wreszcie trafił się tak uczciwy i gospodarny najmit.

Ktorejs niedzieli, chcąc nowemu domownikowi ukazać swoje zadowolenie, Anastazja w tajemnicy przed mężem pchnęła mu do kieszeni kilka drobnych groszy, mówiąc: - Przebierz się, Fedor, pójdziesz do cerkwi, do spowiedzi ci trzeba.

Ten, wybałuszony oczy, odrzekł po chwili:

- Ach, gospodyni miła, cerkiew nie dla takich biedaków jak ja. Nie pójde, pomodlę się w domu. Najwyższy, jeśli zechce, wysłucha mnie tu.

Ubodło to Anastazję. - Chyba siedzi w nim "nieczysty" - pomyślała. Od tego dnia nigdy więcej nie czyniła mu propozycji w sprawie zbawienia duszy jego. Natomiast Wasyl i wielu najbliższych sąsiadów wprost zadurzyło się w nim, patrząc na jego spryt i siłę przy wykonywaniu prac gospodarczych. Niekiedy dziesiątki oczu oglądało zza płotu szarmanckie zanoszenie wozu pełnego obornika lub układanie pod okopy metrowych beczek ze świeżo przywiezioną wodą z korolusznej praczki, jedni, wyrażając uwielbienie i podziw, inni, o zabobonnej duszy, widzieli w nim nieczystą siłę.

Obserwujący wyczyny najmita młody Semeniuk, który, nawiasem mówiąc, był mu życzliwy i całemu domowi ojca, pokonczywszy jakoweś kursy kolejowe, miał być delegowany na Wołyń w charakterze torowego. Tracił zatem Medunka jednego z wielu zwolenników, wyrażając w tej mierze przed Anastazją słowa żalu. Popłakiwały, dowiedziawszy się o tym, sąsiadki, markotno było niektórym gospodarzom, w szczególnym jednak żalu tkwiły Anastazja i Józefowa, bowiem jednej syn, drugiej zaś zięć niebawem odjedzie w nieznaną. Jedynie Wasyl czuł zadowolenie, że sprzed oczu zniknie mu zakąta rodziny.

Czas uciekał. Minęło piękne podolskie lato kraszone wielością dni słońca, zapachem ściętych sierpem i kosą zbóż, przepyszną wionią hreczkowych miodów i mnóstwem kwiatów polnych kwitnących na miedzach i rozległych dolinach. Nastąpiła chłodna i deszczowa jesień.

- Kara Boża - mówiono, w związku z czym kościelni i cerkiewni bracia zaczęli zbierać wśród wiernych pieniądze datki na msze, które niebawem odprawiano w domach Bożych oraz na prywatnych posesjach co bogatszych gospodarzy lub pod figurami świętych, których kilka znajdowało się w obrębie Sadów. Nie wyjednało to jednak łask Bożych, zimna i ponura pogoda zadomowiła się w okolicy na dobre. Twarze sadowian upodobniły się do miejscowej aury. Nawet drzewa wcześniej jak zwykle przeoblekły się na poźółkłą szatę. Zdawało się, że świat z każdym dniem posępniał. W tak nieprzyjemną pogodę, dzień po zaduszkach, młodzi Semeniukowie, żegnani przez domowników i sąsiadów, odjeżdżali na Wołyń.

Anastazja, chcąc się z synem pożegnać, rychlej jak co dzień uporała się z obowiązkami gospodyni, mimo to nie zdążyła przybiec na czas do Michalskiej. Przeto zebrawszy resztkę sił, podążyła na skróty nad "ścianki", skąd jak na dłoni widniała stacja kolejowa Trembowła. Oczekując chwilę, usłyszała wreszcie miarowy stuk wagonów biegnących z plebanowskiej góry. Odwracając się zawadziła nogą o wystający korzeń. Upadła uderzając głową o grabowy odziomek. Usiłowała się podnieść, lecz dotkliwy ból głowy paraliżował każdy jej ruch. W duchu

więc żegnała oddalający się niebawem ze stacji pociąg, polecając syna Najwyższemu w opiekę. Leżąc na skraju drożki, w poźółklej trawie, wśród śpiewu ptactwa usnęła, nie spodziewała się bowiem, że uśnie snem wieczystym.

Pod wieczór robotnicy wracający z pracy, zobaczywszy leżącą kobietę, rozpoznali w niej, niestety, nieżyjącą już starą Semeniukową. Przy pomocy niedalekich sąsiadów przywieźli ją na Semeniuków podwórze.

- Chryste! - wrzasnął Wasyl - coście z nią zrobili? - wołał patrząc na Anastazję rozciągniętą na gołych deskach drabiniastego wozu.

- Znaleźliśmy ją pod "ściankami" nieżywą - odrzekł furman z Grabiny, przystępując do ściągania zwłok.

W międzyczasie przechodzący tą stroną podwórka Medunka, zobaczywszy odrażający przypadek, bez pardonowo wyciągnął swe długie ręce i niczym piórko przeniósł nieboszczkę z wozu do izby. Gawiedź, zobaczywszy Medunkę, a szczególnie jego wyczyn, czyniąc po sobie znak krzyża, w trwodze opuszczała obejście Semeniuków.

Urządzeniem katafalku, zakupem świec, sprzątnięciem izby i organizowaniem pogrzebu przy doradczej pomocy bliskiej sąsiadki nie posiadającej miana dewotki, zajął się najmit. Toteż w zwyczajowym czasie, to jest w okresie trzech dni od śmierci denatki, przy udziale co śmielszych sąsiadów i krewnych, odbył się bardzo skromny pogrzeb. Nie było na nim młodego Semeniuka z żoną, bowiem za sprawą Wasyla nie dostał depechy o śmierci matki, natomiast zawiadomienie Józefowej w tej sprawie było dalece opóźnione.

W kilka dni potem Wasyl, chcąc otrząsnąć się z nieszczęścia, niezwłocznie przyjął służącą do gotowania stawy i drobnych posług gospodarskich. Jednak mimo różnych zabiegów i mozolnej pracy gospodarka Semeniuków chyliła się ku upadkowi. Gospodarstwo odczuwało brak uczciwej gospodyni.

Rok później w Zaduszki na grobie Semeniukowej gorzało dziesiątki świec. Obok ceglanego obramowania modląc się stał Janek z Janką oraz Józefowa z Julią Frankiem. Wasyl natomiast, jak zwykle zapracowany, nie znalazł lub nie umiał znaleźć czasu na odwiedzinę grobu żony, by u jej stóp zostawić przynajmniej raz w roku jedno przepiękne "Zdrowaś Mario".